Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Lis w miocie. Z serji, nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 36 (848) 20 GRUDNIA 1936 R.



Z miotu do miotu. Z serji. nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego".

Fot. W. Puchalski.

Szanownym Prenumeratorom —

z okazji nadchodzących świąt

BOŻEGO NARODZENIA

najlepsze łowieckie życzenia

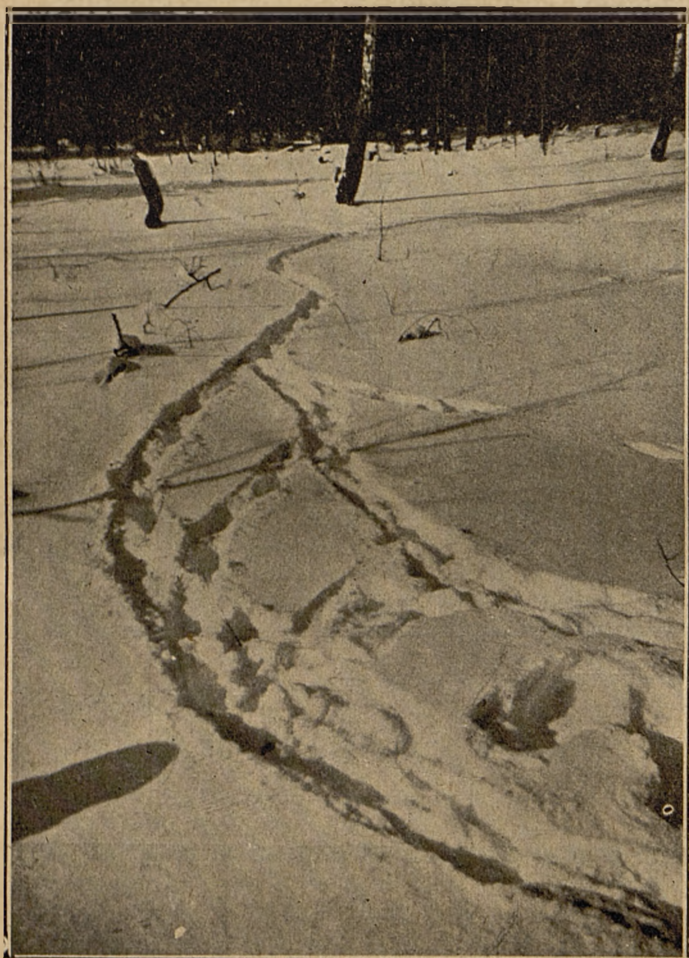
przesyła

Redakcja

ŚRUT CZY KULA?

Śrut czy kula, to temat stary i oklepany, który najwidoczniej jednak wyczerpany nie jest, bo jak źle ugaszone ognisko tli się i żarzy, a przy lada podmuchu znów wybucha płomieniem. W dwóch kolejnych numerach „Łowca Polskiego", Nr. 28 i 29, został on pośrednio poruszony w artykułach „Etyka łowiecka" i „Kontrast myśliwski" przez pp. Konstantego Komierowskiego i Michała K. Pawlikowskiego, którzy rozdmuchali tę iskrę i wzniecili płomień dyskusji.

Z najrozmaitszych już stron do tego tematu podchodzono: z fachowo - technicznej, etycznej, sentymentalnej i t. p. Postaram się ze swej strony ująć go ze strony praktycznej.



Ślad dzików. Fot. T. Rychłowski.

Wybór rodzaju broni, którą posługuje się myśliwy w każdym konkretnym wypadku, podyktowany jest przedewszystkiem bezapelacyjną zasadą, obowiązującą każdego kulturalnego myśliwego, która polega na unikaniu możliwości pokaleczenia, lub zadawania męczarni zwierzynie. Innemi słowy, posługiwanie się bronią kulową uzależniam od istotnej potrzeby takiego strzału. Wszelkie inne względy, nie wyłączając często przytaczanego „zaszczycania" rzadkich i pięknych okazów naszej fauny przez zabijanie ich kulą, a nie śrutem, uważam za indywidualne, subjektywne odczucie myśliwego, które nie są dostateczną podstawą dla wprowadzania pewnych zasad łowieckich w ramy prawa zwyczajowego, czy też pisanego.

Wśród stu kilkudziesięciu przedstawicieli naszej zwierzyny łownej czoronożnej i skrzydlatej, posiadamy zaledwie kilka odmian takich, które mogą budzić wątpliwości co do rodzaju broni, jaką należy używać, polując na nie. Nie może być tematem dyskusji z jakiej broni strzela się do niedźwiedzia, łosia, jelenia, lub dzika, bo mimo najrozmaitszych systemów polowań, które praktykuje się na te rodzaje zwierzyny, zawsze i w każdych okolicznościach można posługiwać się jedynie bronią kulową, a jej niezbędność nie podlega żadnym wątpliwościom, wszelkie zaś przykłady w rodzaju polowania na rykowisku z bronią śrutową lub t. p., uprawiane przez rzekomo doskonałych myśliwych, mogą być traktowane, jako sporadyczne objawy zboczenia łowieckiego i tych w rachubę brać nie można.

Następna kategorja zwierzyny, która nasuwa wiele wątpliwości i wywołuje dużo sporów na temat, czy należy do niej stosować śrut, czy kulę, to wilk, ryś, rogacz i głuszec. Reszta drobnej zwierzyny nie może być brana pod uwagę w niniejszej dyskusji. Wilka i rysia łączę w jedną grupę, o rogaczu i głuszcu nadmienię potem o każdym zosobna.

Mogę stwierdzić na mocy licznych obserwacji, dotyczących strzału do wilka, że byleby odległość nie przekraczała trzydziestu metrów, to przy odpowiedniej broni, śrucie i widoczności, strzał jest zupełnie pewny i niema istotnej potrzeby stosowania kuli. Wszystkie prawie postrzałki, jakie widziałem, były wynikiem albo strzału do tyłu, który jest bardzo pospolity, wobec niebywałej zwrotności zwierza, w której się naogół myśliwi mało orjentują, albo też takiej mety, na którą nie wolno do wilka śrutem strzelać. Jeżeli wyeliminować powyższe uchybienia, to efekt bywa przeważnie piorunujący i niczem nie odróżnia się od osiągniętego przy strzale do zająca. Ilość kulowych myśliwych na wilczych polowaniach jest mniejsza od śrutowych, niemniej widywałem sporą ilość postrzałków kulowych, co dowodzi, że posiłkowanie się sztucerem nie wyklucza tej ewentualności. Strzał do wilka jest trudny, wymaga bowiem niesłychanej szybkości, a najmniejszy ruch przygotowawczy powoduje zniknięcie celu, toteż precyzja kulowego strzału zawsze jest problematyczna, poza czystemi strzałami i pudłami zdarzają się nierzadko postrzały przeważnie kończyn, trudno więc kwalifikować kulę, jako humanitarniejszą od śrutu.

Ci myśliwi, którzy używają broni gładkiej, winni mieć to opanowanie, żeby nie strzelać na nieodpowiednie mety; jest to jednak zasada, którą trzeba stosować nietylko do wilka, ale i do każdej innej zwierzyny. Gdybyśmy na mocy powyższego mieli dyskwalifikować używalność śrutu, a wprowadzali rygory kuli, wówczas musielibyśmy je stosować i do kur pędzonych, i do kaczek, i do każdej innej drobnej zwierzyny.

Myśliwy, który posiada wysoką technikę strzału kulowego, ma ogromną przewagę nad strzelcem śrutowym, niemniej jeżeli brać za podstawę humanitarność i istotną potrzebę, to w stosunku do wilka nie uważałbym za konieczne wprowadzenie powyższego rygoru.

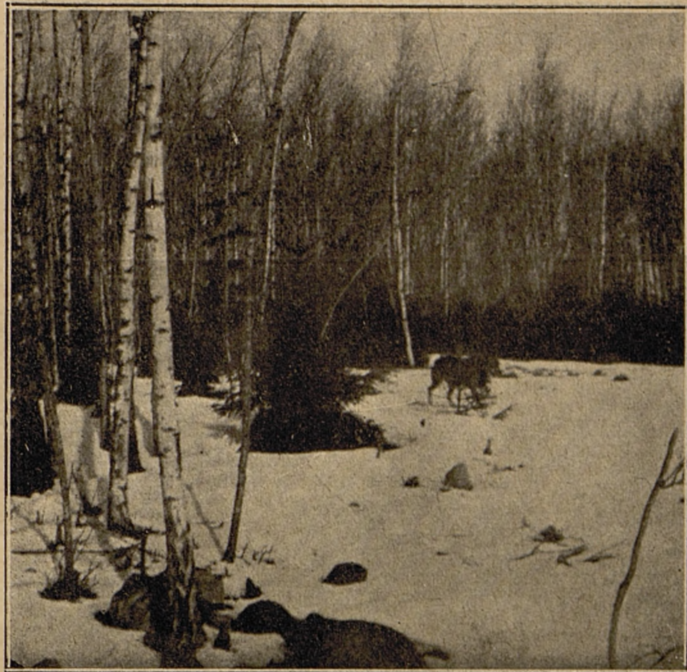
Słyszałem nieraz, niestety, dość rozpowszechnione zdanie, że wilk, to szkodnik, którego trzeba tępić i dlatego właśnie należy go strzelać śrutem. Twierdzenie takie wolę pominąć milczeniem i pozostawić bez komentarzy, bo ich nie potrzebuje.

Przechodzę do rogacza. Rozstrzygnięcie zagadnienia w stosunku do niego komplikuje się tem, że w przeciwieństwie do wilka, na którego polujemy przeważnie jednym systemem z rozmaitemi warjantami, na rogacza mamy różnorodne rodzaje polowań, które kardynalnie różnią się pomiędzy sobą.

Polujemy nań z podjazdu, lub podchodu, na wabia, z naganką i wreszcie z ogarami. Trudno takie warunki zunifikować i krępować myśliwych w wyborze broni. Polując z podjazdu lub z podchodu, ma się przeważnie cel nieruchomy na metę, dużo przekraczającą możliwość strzału śrutowego, o użyciu więc innej broni, jak kulowej, nie może być mowy. Na wabia warunki strzału mogą być rozmaite, nie wykluczają potrzeby posiłkowania się bronią dalekonośną. W polowaniach z naganką, a szczególnie z psami, strzał kulowy prawie nigdy nie jest dyktowany istotną jego potrzebą, strzela się przeważnie na normalne mety strzału śrutowego, chociażby z tego względu, że dalsza odległość uniemożliwia rozpoznanie rogacza, nie mówiąc już o definicji wartości poroża. W tych warunkach jakiekolwiek rygory w stosunku do posiłkowania się jedynie bronią kulową nie mają żadnego uzasadnienia, bo strzał śrutowy do rogacza odpowiada wszelkim warunkom humanitarnym, jest bowiem na odpowiednią metę równie pewny i efektywny, jak kulowy. Jeżeli zaś chodzi o „zaszczycanie zwierzyny trudnością strzału", to śmiem twierdzić, że strzał kulowy do celu nieruchomego, gdy mam czas zapomocą odpowiednich szkieł rozpoznać poroże, a zwłaszcza gdy posiłkuję się lunetą, o wiele jest łatwiejszy od strzału śrutem do rozpędzonego rogacza, którego muszę jeszcze rozpocząć a polując z ogarami zabiedz, by módz go strzelić, jak mignie na przesmyku.

Przechodzę zkolei do głuszca. Tu nic prawie niema do powiedzenia, bo zasady, którym hołduję, znajduję w przypisku redakcyjnym do artykułu „Etyka łowiecka", oraz w „Kontrastach myśliwskich" p. Pawlikowskiego. uważam bowiem, że poza nielicznemi wyjątkami jedynie strzał śrutowy do głuszca jest odpowiedni.

Na specjalną uwagę zasługuje ta część przypisku redakcyjnego, gdzie poruszony jest moment demoralizowania myśliwych przy użyciu nieodpowiedniej broni. Uogólniłbym jednak tę zasadę, bo w jeszcze większym stopniu, niż w stosunku do kuli i głuszca, można ją dostosować do śrutu i do innych rodzajów zwierzyny, a zdanie: „Nie wódź nas na pokuszenie" ma bardzo szerokie pole do zastosowania w tej dziedzinie. Narówni z „waleniem" kulą do każdego głuszca, którego uda się zobaczyć na tokowisku, niestety, widzimy bardzo często „walenie" śrutem do każdego defilatora, czy jest on, czy nie jest w zasięgu śmiertelności śrutowego strzału. Gdy kiedyś zainterpelowałem o to jednego myśliwego, który w mojej obecności taki grzech popełnił, otrzymałem wprost zdumiewającą odpowiedź: „Przecież to był wilk, tak rzadka zwierzyna, musiałem ją uhonorować strzałem". Dziwny zaiste sposób honorowania zwierzyny, który polega na możliwości jej pokaleczenia. Gdy w innym wypadku analogiczną uwagę zwrócono myśliwemu, który strzelił śrutem do głuszca na nieodpowiednią metę, usłyszano zdanie jeszcze horendalniejsze: „Chciałem wypróbować moje nowe Hollandy". Takie i w tym rodzaju kwiatuszki, niestety, nie są sporadyczne i każdy, kto więcej poluje, prawie bez wyjątku musi się z niem zetknąć.



Wilk idzie... Fotografja, odznaczona bronzowym żetonem na konkursie fot. „Łowca Pol." Fot. E. Woynicki.

Zagadnienie: „śrut czy kula" mieści się w wypowiedzianych przez Pana Komierowskiego słowach: „Polujcie, jak kto chce, byle etycznie". Ze swej strony dodam pewne uzupełnienie. Bądźmy kulturalnymi ludźmi i myśliwymi, niech jako kryterjum dla określenia poziomu kultury jednostki służy nie wytworny strój, dobre ułożenie, lub Hollandy, ale jej czyny, zgodne z zasadami i podstawami etyki łowieckiej, wówczas zagadnienie: „śrut czy kula" przestanie być aktualne, bo każdy kulturalny myśliwy wie najlepiej kiedy, w jakich okolicznościach i z jakiej broni ma prawo zrobić użytek.

WACŁAW PODHORSKI.

Wilcza dola.

Kiedy skradam się nocą
poprzez zaspy i haszcze —
— moje oczy jak gwiazdy migocą...
Cichy skowyt wyrywa się z paszczy,
gdy przeklinam swą dolę sierocą —
i samotność i głód.

Wtedy słyszę w oddali
zew, co kusi i nęci,
Odpowiadam radośnie, zuchwale,
potem milczę i słucham w napięciu.
Krwi gorącej pragnienie mnie pali
i samotność i głód...

Śmierć ze wszystkich stron czyha
w ośnieżonym ostępie
i, jak groźba upiorna a cicha,
czerwień flader na wietrze się strzępi...
Prysła buta myśliwska i pycha...
...Został Strach ...Został głód...

W. L. von FALKENAU.

WIGILIJNE POLOWANIE W KOZŁÓWCE.

Dzień wigilijny roku 1935 wstał cichy i w skupieniu przygotowywał się do wielkiej chwili Bożego Narodzenia.

Śnieg już od paru dni otulał ziemię wspaniale białym, puszystym kobiercem. Mróz lekki trzymał.

Wyszliśmy w dniu tym na tradycyjne polowanie. A było to pierwsze polowanie, na które zabraliśmy naszego dziesięcioletniego syna, Adasia. Po drodze do zagajnika, od którego mieliśmy rozpocząć, toczyła się rozprawa, czy dać Adamowi strzelbę... Byliśmy w tym roku sami, bez gości, uważałam więc, że właśnie nadarza się sposobność, by Adam spróbował szczęścia, gdyż nie groziła mu przynajmniej poważniejsza kompromitacja. Mąż mój jednak nieodrazu projekt ten zaaprobował.



Dziesięcioletni Adam Marcin Zamoyski ze swem pierwszem trofeum. Kozłówka 1935 r.

Mijaliśmy folwark. Zesztywniałe od zimna, rozsiadły się tu gromadami wrony: na dachach budynków gospodarskich, na ogrodzeniach, a wreszcie i na ziemi.

— Wybierz sobie jedną i strzelaj — powiedział ojciec, podając Adamowi dwudziestkę i dwa naboje. Uradowany chłopak chwycił strzelbę, nabił, chwilę mierzył... i huknął niezwykle głośny strzał. Adam, który dotąd strzelał tylko z floweru, zachwiał się lekko od uderzenia kolby. Jedna z wron padła.

— Powtórz — krzyknął ojciec. Ale pomimo ciągnięcia to za jeden, to za drugi spust — strzał nie padał.

Po rozładowaniu strzelby, okazało się, że Adam za pierwszym razem strzelił z obydwu luf jednocześnie...

Serdeczny nasz śmiech speszył młodego nemroda...

Szliśmy dalej i znów wiodłam spór z mężem, który przekonywał mnie, że Adaś jest zbyt jeszcze mały, by mu strzelbę powierzać na polowaniu. Nie zgadzałam się z tem twierdzeniem i, jako argumenty, przytaczałam dotychczasowe celne strzały syna do tarczy, wron i wiewiórek, choć coprawda zawsze tylko z floweru.

Zajęliśmy wreszcie stanowiska. Zagajnik nie był wysoki. Wokół otaczała nas skupiona cisza i opalowe kolory wigilijnego poranka.

Nie wierzyłam w wielką ilość zajęcy. W krótkich słowach opowiedziałam Adamowi, jak zachowywać się ma na stanowisku, towarzysząc myśliwym.

Zdala dochodziły głosy ruszającej naganki.

W oczekiwaniu — pragnęłam, by pierwszy zając był moim, abym mogła czemś popisać się przed synem, a potem zobaczymy... może oddam mu strzelbę...

Zagajnik był niemal pusty, wreszcie jednak wyskoczył długouchy szarak. Strzał — i zając, wywinąwszy w powietrzu młynka, rozciągnął się, jak długi, ku ogromnej radości Adasia. Po chwili leżał i drugi. Naganka wyszła. Przeszliśmy na następne stanowiska, a gdy mąż mój oddalił się znacznie — dałam strzelbę Adasiowi, który z dumą zajął moje miejsce. Stałam za nim i, pilnie bacząc na każdy jego ruch, szeptałam ostatnie przestrogi i wskazówki. I nie wiem, kto w tych chwilach więcej miał emocji — on, czy ja...

Cisza znów zaległa. Nagle Adam szepnął: — O, nasz sąsiad coś przegapił. Ale to nie zając, to było coś innego...

Zaczęło się dłużyć oczekiwanie. Zajęcy nie było. Daleko, na przeciwległem skrzydle, padł strzał. Po chwili stado spłoszonych kuropatw przeleciało nam z furkotem nad głowami. I znów cisza... Raptem usłyszałam za sobą szmer, a szybko odwróciwszy się, ujrzałam rudą plamę, lisa, przemykającego wśród młodych dąbczaków.

Adaś już mierzył. Padł strzał i lis został na drodze...

W chwilę potem ojciec już ściskał swego jedynaka.

Wieczorem, przy blasku ogni, na dziedzińcu przed domem klęczał przy zdobyczy młody nemrod, z rąk ojca otrzymując chrzest myśliwski...

Staliśmy obok z nadleśniczym, patrząc na ten tradycyjny obrazek. W oknie kuchni ukazała się wąsata twarz starego kucharza. Z sieni wybiegła rozrzewniona niania, ta, która wypiastowała i ojca i syna...

A gdy zabłysła pierwsza gwiazdka i zapłonęła świeczkami choinka — znalazłam pod nią koszyk z futrem lisa i kartkę: „Mojej najdroższej Mamie na gwiazdkę — mój pierwszy lis". To był najmilszy dla mnie podarunek gwiazdkowy.

Od tej pory Adaś towarzyszył nam prawie zawsze — z dubeltówką. I już w tym roku poszczycić się może kuropatwami, przepiórkami i kaczkami, do których nawet miał dwa dublety.

Pierwsze polowanie wigilijne przyniosło mu szczęście.

J. Z.

W TAKĄ TO NOC WIGILIJNĄ...

Gwoli utrzymania odwiecznej tradycji praojców, pomimo gorących protestów bawiących w gościnnem nadleśnictwie dwóch przyjaciół, krewnych z Warszawy, wybrał się jednak inżynier Adam Derstawski na wigilijne łowy.

Zadymka „wyła" za oknami przytulnej sadyby nadleśnictwa, jak stara wiedźma, ze skóry obdzierana.

— Warjactwo! Adasiu, nie chodź! Psa kulawego w taką pogodę nie wypędzisz! Co za upór piekielny!

— Toteż nikogo ze sobą nie biorę, nawet gajowym zabroniłem sobie asystować. Za parę godzin powrócę i to ze zdobyczą!... Zając leży, jak kamień, w taką zawieruchę!... Chociaż raz, ale do kota strzelić muszę!... Od maleństwa nigdy dnia tego nie przeżywałem bez polowania!... Wy tu sobie z panami leśniczymi zaimprowizujcie brydża, a ja akurat z pierwszą gwiazdką powrócę o zmroku na wigilijną wieczerzę.

— Żeby tylko Cię, Adasiu, jaki upiór, wilkołak poczwara, zjawa pogrzebowa, w tych śniegowych czeluściach nie napadła!

— Głupstwa! W dzień i noc tak świętą duchy siedzą cicho-sza! Zresztą nie wierzę w babskie brednie!

— Panie naczelniku, panie inżynierze, a możeby ja czy Niekraszewicz był przy panu? — nieśmiało dorzuca dyżurny gajus. — Zawsze to las, błota poleskie, czort wiedaje (wie) jaką cholerę spotkać można... Bo tam bałakają (mówią) około cmentarza pod lasem straszy!

— Powiedziałem: pójdę sam — i szlus... No, do zmroku... św. Hubertowi cześć!

Dziarsko, ze strzelbą na ramieniu, literalnie z punktu odrazu za zacisznym ganeczkiem nasz pan Adam „znurkował" w białą otchłań kurzących się tumanów śniegowych.

Wysportowany, w odpowiedniem ubraniu, kroczył wytrwale, pomimo wszystko, borykając się z rozhisteryzowanym żywiołem... Za jakąś godzinkę już był pod czarną ścianą lasu.

„Poszancowało" mu.

Jak z procy, z obłoków zasypujących śniegowych nalotów, prawie że z pod nóg pomknęło aż dwa „leporydy"... Nie spodziewały się dziś spotkania z „królem przyrody" w taką zawieję.

Wypuściwszy je, nasz pan Adam, w głębokich duchach „kroków na czterdzieści" — wypalił. Dwa przytłumione puknięcia... Gracko! Śliczny dublet, chociaż na pomyka, lecz tradycji stało się zadość!

— No i basta, dosyć! Wyszedłem o drugiej, zanim tych parę kilometrów odmacham przy takiej pogodzie, to noc zapadnie, zato jak błogo będzie przy stole, w ciepłej chacie, z Bolkiem i Guciem posiedzieć.

Zarzuciwszy zające na plecy, skierował się ku izbom miasteczka, które jakby na czarnych obłokach leżało.

Droga powrotna pod wiatr, przy szalejącej wichurze i dźwiganiu przytem dwóch kresowych, po dwanaście funtów każdy, zajęcy, jeszcze gorszą była!... Ciemniało coraz bardziej.

— Dobrze, że choć polem idę i wsi kontury choć niewidoczne, lecz kierunek „recht" — dobra! — pomyślał pan Adam.

— A otóż i kapliczka, przy rozstajnych drogach do Smietanicz i Teterowicz — doskonale!

Pomimo to kręcił, kręcił nadleśny z godzinkę w białych zasłonach i... znowu powrócił do tego samego miejsca.

— No, no? Może Bolek i Gucio mieli rację, jeszcze doprawdy nie trafię, psiakość, do domu!

Dotarł jakoś do cmentarzyska, stąd już droga, drzewami wysadzona, prosta, jak kulą strzelił, kilometr do miasteczka. Raźniej się zrobiło na duszy pana Adama.

Krzyżów wysokich ramiona, górujące nad skromnemi godłami zbawienia uboższych mogiłek, tragicznie tak się profilują!

— No — już jestem prawie w Burowskiem nadleśnictwie. Dzięki Bogu!... ale „pietra" miałem!

Wtem staje się rzecz straszna, wprost niesamowita, krew w żyłach mrożąca... Włosy pana Adama stają dęba, dreszcz zgrozy całe jestestwo przebiega! Tak nie po myśliwsku nawet, bo na pomyka ubite zające, za skoki trzymane, w śnieg upadają i paniczny, koszmarny strach budzi się w duszy.



Na stanowisku. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. K. Komierowski.

Widzi!!! — jasno widzi... białe jakieś „ruszające się" postacie pomiędzy krzyżami. Objęcia swe makabryczne ku niemu „prościerają".

Zgiń, zczeznij, — zmoro przeklęta!... Odruchowy znak krzyża świętego na swojej osobie i w lasu kierunku... Napróżno!... A wiatr wyje i wyje, żałośnie zawodząc w drutach telefonicznych.

Nie wytrzymał nasz pan Adam!... Jak szalony rzucił się do ucieczki naprzełaj przez teren cmentarny. Po kilku potężnych susach już nie jedną, a kilka upiornych sylwetek go okrąża. A on, coraz głębiej zapada w nawiane białe masy. Strzelba za plecami boleśnie tłucze po kościach.

Wtem z mroków już zupełnej nocy wyrasta o parę kroków coś złowrogo łopoczącego i białego!

— Boże, Boże ratuj! — Jezus Marja!!!

Raptem to coś rzuca się na niego. Ohydny, ślizki, zimny uścisk bierze go w swe objęcia „kościotrupa" — mogilny zapach zda się z wiatrem niesie. Upiory wzięły go w swą moc djabelską! Zamroczyło biedaka. Jak snop, padł w zimne puchy. Stracił przytomność. Nirwana słodka zlitowała się nad nim.

Kiedy nanowo ożył, był już u siebie w nadleśnictwie, w łóżku. Dokoła niespokojne, przyjazne twarze doktora Bolka i mecenasa Gucia, we drzwiach mającą zacni „fauni" gajowi — Niekraszewicz Izydor i Prymaczenko Ustym.

Jasno jest w pokoju od lampy, a w przyległym jadalnym krząta się już poczciwa pani Rozalja, szykując do wigilijnego stołu. Biały obrus i świeżutkie, siano, snopy żyta w kątach i święty opłatek! Wszystko, jak być powinno...

— W niepokoju o Ciebie wysłaliśmy, mój Adasiu, gajowych, kiedy już ściemniało.

— Tak, ale co się ze mną stało? Upiory, upiory... jeden nawet pochwycić mnie chciał!

— Tak szczo, panoczek, taka okazja — treba buło akuratnie w święto takie w „soczelnik" (w Wigilję) — durnoj (głupiej) Kowalczukowej żince (żonie) storoża Telemona wielmi (dużo) na opierunek koszul porozwieszać na sznurkach, od krzyża do krzyża. Prokliataja baba nawet światoj krest nie „uważyła"... Tak szczo (że) panok perelukawsia (zląkł się) duże, jak zapadał się (zaplątał) z głową, no zwiestnoje dzieło (wiadomo), zamroczyło pana naczelnika... Oto okazja — oto okazja!

Za godzinkę, jak ręką, zdjęło całą tę zmorę.

Nasz pan Adam zdrów, jak ryba, w gronie swych przyjaciół już siedział za stołem wigilijnym, z nimi i z leśnikami przełamawszy się opłatkiem, i z apetytem spożywał smakowite rybki, wyroby poczciwej gosposi.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Słusznie mówi staropolskie przysłowie: „lepszy Pan Bóg, jak pan Rymsza". No i przyjaciele, serdecznie oddani i wierni gajowi.

Nad przytulną leśniczówką welon ciemnej nocy pieściwie tulił do swego łona grono przyjaznych sobie ludzi.

Tradycji łowieckiej stało się zadość ku większej glorji św. Huberta.

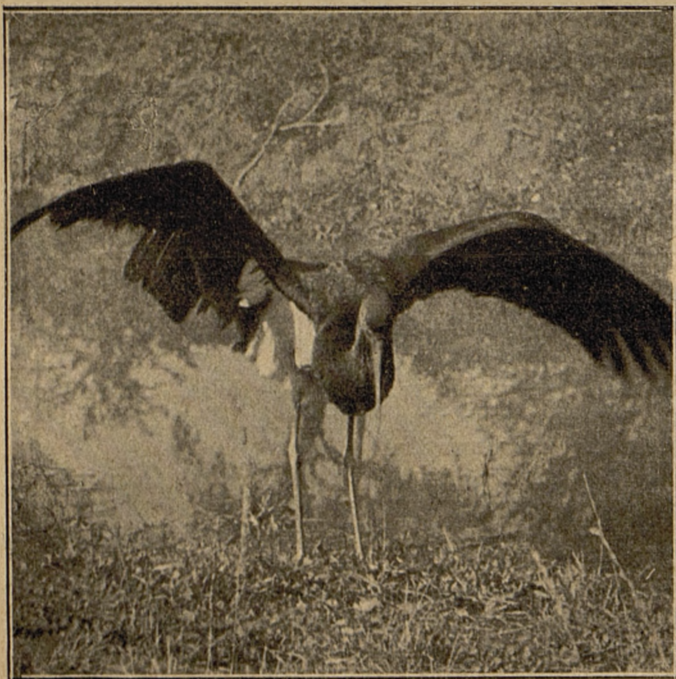
Chwała na wysokościach — a pokój na ziemi ludziom dobrej woli! A gwiazdy... Tam, w eteru przestworzach świeciły, jak szabaśnik złoty, w taką to noc wigilijną.

ADAM RZEWUSKI

PIERWSZE KROKI.

(Dokończenie).

Po dziś dzień żywo zachował się w mej pamięci ten obraz gajówki Aleksandra, z której przez długie lata wyruszaliśmy na myśliwskie wyprawy. Pamiętam mglisty świt lipcowy, poprzedzający upalny dzień letni, kiedy wątłą łódeczką, drążoną z pnia osiny i poczerniałą ze starości, jechałem ze swym mentorem na pierwsze moje w życiu polowanie — na kaczki.



Czarny bocian. Fot. Dr. K. Maślankiewicz.

Wprawną ręką kierowane czółenko przybiło do gęstej kępy łozy, tkwiącej, jak duży kwiat, pośrodku rozległego labiryntu „kanaw" wodnych i jeziorek. Usiedliśmy w przygotowanej zawczasu budce. Serce biło mi wówczas mocno, gdy, wziąwszy do ręki kapiszonową dwururkę Kadelskiego, oczekiwałem na przylot kaczek, lustrując jednocześnie okiem smugę obramowanej trzciną wody, biegnącej w dal od kępy, aż ku szerszemu nalotowi krzewin i sitowia.

I oto zaledwie świeży lazur nieba zapłonął na wschodzie złotem, zaledwie pierwsze refleksy dnia zamigotały na wodzie, do mych uszu doleciał wyraźny, charakterystyczny świst skrzydeł kaczych. Stado cyraneczek przemknęło nad nami, rodząc wir powietrza, który targnął gwałtownie wierzchołkami krzaków i poszedł w dal za zwierzyną. Lecz znowu melodyjnie grają wyprężone lotki. Dwie cyranki lecą nisko nad błotem, wprost na naszą kryjówkę. Powstałem i podniosłem flintę.

— Brać arszyn przed dziób — huknął mi donośnie nad uchem Aleksander, aż przysiadłem ze strachu.

Rezultatem tej fachowej wskazówki strzeleckiej było to, że wypaliłem naoślep przed siebie, wcale nie celując. Ale o dziwo — tylna sztuka skoziołkowała i uderzyła ciężko o powierzchnię wody, słabo tylko wachlując skrzydełkami. Radość moja nie miała granic. Nawet stary chrząknął głośno, przez co wyrażał zazwyczaj swoje uznanie.

Szarpany uczuciami dumy i szczęścia — zapragnąłem koniecznie wydostać zaraz z wody upolowaną kaczkę i nacieszyć się jej widokiem. Aleksander perswadował, odradzał — mówiąc, że nie należy psuć dalszych łowów, że jak zabiję więcej kaczek, to wówczas... Nic nie pomogło. Pozostawiwszy strzelbę w budce — popłynęliśmy ku srebrzącej się na modrem tle jeziorka cyrance.

I zaledwie dziób czółenka przesunął się koło mej zdobyczy, przypadłem do burty, wlepiając roziskrzony radością wzrok w pływającą kaczkę. Na dropiatym brzuszku i białym atłasie podbicia skrzydeł drgały tysiącem brylantowych ogni drobne, rozsiane szeroko kropelki wody. Drżącą ręką uchwyciłem miękkie, ciepłe ciałko ptaka i już miałem go podnieść, gdy naraz sina tafla zamajaczyła mi jakoś dziwnie przed oczyma i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje, plusnąłem cały do wody. Gdy się wynurzyłem, dźwignięty silnem ramieniem starego, ujrzałem go stojącego po pas w nurtach jeziorka, ociekającego wodą, z twarzą zasłaną kosmykami mokrych włosów, wymykających się z pod czapki.

— Zdurniawszy panicz, ci co? — zrzędził, gramoląc się do czółenka i wciągając mnie za sobą. Dobrze, że choć strzelba i torba zostawszy się na kępinie — nie mógł się jeszcze uspokoić.

A mnie się chciało tylko śmiać. Leżąca na kolanach cyranka, pierwsze trofeum łowieckie, pierwszy dreszcz rozkoszy myślistwa, zatuszował całą przykrą przygodę. Odczuwałem w tej chwili przeogromną radość. Szarpiące się w piersiach serce przygarnęłoby do siebie cały świat, tak czuło się szczęśliwe, tak było kochające...

Usiedliśmy ponownie w budce. Głaszcząc mię-

ciuchne, atłasowe upierzenie zabitej kaczuszki, nie zauważyłem nawet, że z nad łanu trzcin wysunęła się duża, ciężka sylwetka krzyżówki i zapadła na wodzie z krótkim łopotem. Aleksander, zniecierpliwiony mojem niedbałem zachowaniem się, trącił mnie w bok, wskazując wzrokiem jeziorko. Rzuciłem tam okiem i wnet wzrok mój zaiskrzył się namiętnem pożądaniem zdobyczy.

Rozgorączkowany widokiem upragnionej zwierzyny, złożyłem się i huknąłem. Grad śrucin osmagał wodę, ściął nawet parę wystających traw, ominął jednak żerującą kaczkę, która uleciała w dal z szyderczem kwakaniem.

— Tfu! — rozległo się gniewne splunięcie leśnika. Cyraniuka w lot zrzucił, a siedzącej krakwy nie popad. Szutki (żarty) stroisz panicz, ci co?

Cała moja reputacja strzelecka rozwiała się, jak miraż. Czułem się dziwnie zmartwiony i gdyby nie upolowana cyranka — zapłakałbym pewnie z żałości. Mój awans na myśliwego był bowiem mocno zachwiany. Aleksander jął mnie pocieszać.

— Głupstwo, panicz, wyrośnisz, tak i zmądrzeisz, a teraz pojedziem w druga miejsca.

Ta „druga miejsca" dała mi dwie duże, piękne krzyżówki, zabite wprawdzie na wodzie, ale stary już nie zrzędził, a ja ponownie czułem się bardzo szczęśliwy.

*

W opowiadaniach starego Aleksandra, snutych przy leśnem ognisku, bardzo często powtarzała się nazwa „Dzikiego Oczka" — jeziorka, położonego w głuchej bardzo części bagien, o kilka kilometrów oddalonych od dworu. Miało to być eldorado wszelkiego wodnego ptactwa, które, dzięki trudno dostępnym dla człowieka terenom — biesiadowało tam w olbrzymich stadach. Sam niejednokrotnie brodząc po okolicznych mokradłach — słyszałem donośne wrzaski i zgiełkliwe ptasie rozhowory, płynące z tamtej strony, jednak gąszcza krzewów i zdradzieckie bagniska, okalające zewsząd szerokim pierścieniem to ta:emnicze jeziorko — powodowały że z wyprawą na „Dzikie Oczko" stale zwlekałem.

Aż kiedyś w połowie lipca, korzystając z wyjątkowo pięknej pogody, wyruszyłem zaraz po południu na tę emocjonującą ekspedycję. Ubrany w swój zwykły płócienny strój myśliwski, w skórzanych łapciach i bez kapelusza — kroczyłem moczarem w stronę jeziorka. Pas z nabojami umocowałem na głowie, w lewej ręce dźwigałem strzelbę, prawą zaś rozgarniałem gałęzie, lub trzymałem się kęp i powoli sunąłem się ku upragnionemu celowi, który wypieściłem tylokrotnie w swych marzeniach łowieckich.

Otoczyła mnie zwarta gęstwina szeroko płożącej się łozy, wystrzelającej splątanemi bukietami pędów z rozlewiska wód, sięgających mi do pasa. Splecione ze sobą, pogmatwane i krzyżujące się pręty łozy, pokryte wisiorami szarych, włóknistych porostów — tworzyły niedostępną dżunglę, wznoszącą się o dobry metr ponad głową. Rozmoknięte chodaki wyczuwały pod powierzchnią wody gęstą, torfową maź, ułożona na jakiemś twardem podłożu, po którem stąpać należało bardzo ostrożnie, gdyż co kilka kroków nogi grzęzły w jakichś zagłębieniach i dołach, a wówczas ciało pogrążało się w ciepłych nurtach nagrzanej słońcem wody aż po piersi lub szyję. W momentach takich instynktownie wznosiłem do góry strzelbę, łapiąc jednocześnie prawą dłonią za jakiś krzak, dzięki czemu odzyskiwałem równowagę i mogłem za chwilę posuwać się dalej, badając starannie wysuwanemi wprzód stopami zdradzieckie dno moczaru.

Mijałem suchsze kępy, wystające nad poziomem wody, na których rosły chore, rachityczne świerczki i młode brzózki, przeciskające się bielą pni przez połyskujące masy listowia odrośli czarnej olchy. Z kęp tych bezszelestnie zsuwały się do wody grube, jak liny, cielska węży-zaskrońców i, wysunąwszy znaczoną jasnemi plamami główkę — płynęły w zwarty szpaler łóz.

Mijałem głębsze „kanawy" wodne, przyprószone pływającą zielenią rzęsy okrągłolistnej, z pośród której wyrastały złote wiechy tojeści błotnej i pojedyńcze wiotkie szpicruty sitowia. Głosy biesiadujących rzesz ptactwa stawały się coraz bliższe, coraz wyraźniejsze. Kępy rzedły, ustępując miejsca łanom roślinności bagiennej, czy też czystym smugom wody, sięgającej mi po pachy. Posuwałem się coraz ostrożniej i wolniej, bacząc pilnie, by nie zapaść się w grzęzawisko, jak również by jakimś głośniejszym ruchem nie spłoszyć żerującej w pobliżu skrzydlatej gromady.

Zmęczony, z podrapaną twarzą i rękami, cięty niemiłosiernie przez chmary dokuczliwych komarów — dobrnąłem wreszcie do małej, parometrowej wysepki, wrzynającej się w plos „Dzikiego Oczka". Z uczuciem prawdziwej ulgi, leniwie, jak senny gad, wczołgałem się pod nawisłe gałęzie rozkrzewionej łozy i brzeziny, a wsparłszy policzek na dłoni — spojrzałem na upragnione, ta:emnicze jeziorko.



Kaczka rożeniec. Z serji, nagrodzonej II nagrodą na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. A. Dobrski.

Powierzchnia „Dzikiego Oczka" wynosiła najwyżej pół hektara. Srebrno-szara dżungla zarośli obejmowała je zwartym pierścieniem, dochodzącym do samej głębiny wód. Przed łozą rozpościerał się pas dwumetrowy roślin wodnych, okalających właściwe jeziorko. Szuwar ten był zbiorowiskiem najrozmaitszych gatunków traw i kwiatów, stanowiąc jakby dziki i piękny ogród botaniczny. Najbliżej brzegu wznosiły się snopy soczystego sitowia, gęsty łan trzcin wodnych, ozdobionych wysokiemi patykami, zakończonemi kawałkiem pluszowego wałka i wreszcie wiązki mieczykowatych liści kosaćców, z zatkaną tu i owdzie palmą złotego kwiecia. Dalej ku wodzie rosły wyniosłe kwiatostany babki wodnej, obsypane rzadkiemi, drobnemi kwiatuszkami, świeciły się białe o czarnem wnętrzu gwiazdki strzałki błotnej i długie, czerwone wiechy jakiejś nieznanej rośliny. A tam, gdzie ciemna toń jeziorka oznaczała głębinę — pływała na powierzchni zielona powłoka rzęsy drobnolistnej, krzewiły się kępki żabiścieku i rozpościerały się śliskie, owalne ceratki grążeli.

Lecz bardziej niż rośliny pociągały wzrok gromady ptactwa, od którego jeziorko dosłownie się roiło. O kilka kroków od mojej kępy, w gąszczu kosaćców.

stała po faryzeuszowsku zamyślona jasnobrzucha czapla, z głową wtuloną w wystające ramiona. Jej żółte, jak siarka, chytre oczki penetrowały ustawicznie przejrzyste warstwy wody, a dostrzegłszy rybę, czy chrząszcza błotnego — iskrzyły się groźnie, jak u tygrysa. Ostry, sztyletowaty dziób uderzał wtedy w wodę, a rozdęta gardziel i stroszące się na przełyku pióra świadczyły, że chwyt nie zawiódł. Tuż przedemną biegała po łanie roślin wodnych gromadka zielononogich kokoszek, migając czerwienią wydłużonych łysinek i takiemiż podwiązkami. Z fletowym, dźwięcznym piskiem przesuwał się wśród sitowia nurkujący bezustannie rudogłowy perkozik, płynął nieopodal czujny perkoz-zausznik, któremu bacznie przyglądała się stojąca na liściu grzybienia łyska.



Masowy podryw krzyżówek. Z serji nagrodzonej II nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. A. Dobrski.

A gdy rzuciłem okiem na szeroką toń jeziorka — skamieniałem. Snuły się tam setki i dziesiątki krzyżówek, podgorzałek, cyraneczek i cyranek. Szare ptasie sylwetki zbierały się grupami, to znowu rozpływały pojedynczo... Część drzemała na wodzie, wtuliwszy głowy w nasady skrzydeł, inne żerowały spokojnie, zbierając skrzętnie dziobami pływającą rzęsę, jeszcze inne nurkowały, lub uganiały się za sobą, bijąc głośno skrzydłami o wodę i radośnie kwacząc. Zgiełk ptasich głosów napełniał okolicę donośną wrzawą, słyszalną z odległości dobrego kilometra.

Cały ten obraz dzikiego życia natury krył w sobie tyle piękna, tyle niewysłowionego czaru, że obecność człowieka, tego wandalskiego intruza, na tle takiej rozkosznej sielanki, była przykrym dysonansem. Ten spokojny, szczęśliwy i rozbawiony światek ptasi bezwątpienia ucichłby i pierzchnął strwożony, gdyby tylko dostrzegł moją obecność. Dlatego też leżałem bez ruchu, pragnąc za wszelką cenę zachować swoje incognito.

Dwie cyraneczki wylazły na kępę o pół metra odemnie. Ciemnemi, połyskliwemi dziobami porządkowały zgniecione pierze, dłubały coś u swych łopaciastych nóżek, spoglądając zukosa na moją martwą postać, aż wreszcie zsunęły się do wody i kwacząc chrapliwym dyszkantem — popłynęły w dal.

Ukośne promienie zachodzącego słońca przedarły się przez zwarty gąszcz łóz i spoczęły na niebieskiej tafli wody, na szmaragdowej mgiełce przybrzeżnej roślinności i złotych wiechach kosaćcowego kwiecia. Zagrały barwami pięknych „lusterek" kaczych, drgnęły ogniem djamentów na zawisłych wśród traw kroplach wody i zapaliły się czerwoną pożogą na pieńkach białych brzóz. Gromady kacze opuściły środek jeziorka, zagłębiając się w łan szuwaru i podmokłej łoziny. Dźwięki pluskania dziobami stały się zgiełkliwą melodją, płynącą ze wszystkich stron „Dzikiego Oczka". Nastała godzina żeru. Kilka stadek porwało się do lotu i opuściło zaciszny zakątek, który rozbrzmiewał rytmem zgodnej, skupionej pracy.

Nabita strzelba leżała tuż przy mnie, szeregi kaczek przesuwały się wśród zarośli tam i z powrotem, a jednak zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że strzał w tym świętym przybytku dzikiej, pierwotnej prawie przyrody, byłby zbrodnią, bo huk zmąciłby i zabił dźwięki rozkosznej ptasiej symfonji, a krew zbrukałaby czerwienią nieskazitelnie niebieską taflę jeziorka, jarzącego się ostatnim refleksem gasnącego słońca.

Po kilkagodzinnej obserwacji odchodziłem ze swego stanowiska tak cicho — jak przyszedłem. Odchodziłem szczęśliwy.

„Dzikie Oczko" odkryło przedemną wielki, największy dogmat łowiectwa, że głównym jego urokiem, główną wartością jest obcowanie z naturą, wydzieranie mieszkańcom kniei tajemnic ich obyczajów, zaś nigdy odbieranie im życia.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Przed zbliżającym się nowym rocznym okresem naszego wydawnictwa zwracamy się z gorącym apelem do dotychczasowych Szanownych Prenumeratorów

o jednanie dla „Łowca Polskiego" nowych, stałych jego czytelników.

Niech każdy w ten sposób wbuduje choć jedną cegiełkę, przyczyniając się do dalszego wzmocnienia gmachu polskiego piśmiennictwa łowieckiego, oddanego na usługi wszystkich zainteresowań naszych myśliwych i pracującego dla rozwoju rodzimego łowiectwa.

Niezależnie od tego prosimy usilnie o możliwie śpieszne, punktualne odnawianie prenumeraty na najbliższy okres czasu: rok, półrocze, kwartał, lub miesiąc następny. **Administracja.**

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

— Kilka lat temu — opowiada Smith, — nocując niedaleko Buttle Lake, wrzynającego się do Strathcona, rezerwatu, położonego w centrum naszej wyspy, usłyszałem świtem odgłosy zażartej walki. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem straszliwy i nieprawdopodobny w swej grozie pojedynek czarnego niedźwiedzia z pumą. Niedźwiedź starał się odpędzić kocura od świeżego, bo ciepłego jeszcze i krwią ociekającego jelenia. Na odgłos zbliżających się psów, zwierzęta te rozpierzchły się w różne strony.

— Puma, która, w ciągu krótkiego czasu zapędzona przez psy na drzewo, zwaliła się od mojej kuli, była znacznie mniej poraniona pazurami i kęsami niedźwiedzia, niż miś, którego w ciągu najbliższych godzin podszedłem świeżym tropem i powaliłem. Rany „Blacky" były okropne i gdybym go nie zastrzelił, zginąłby niechybnie od upływu krwi. Był to stary, dobrze wyrośnięty zwierz i waga jego conajmniej trzykrotnie przewyższała ciężar lwa górskiego (pumy).

— „*Yes Sir* — gdyby ten prężny, o wężowych ruchach, olbrzymiej sile i zręczności zwierz wiedział, jak groźnym i niebezpiecznym może być dla człowieka i jego psów, gdyby w bezgranicznej swojej głupocie nie chronił się na drzewo, gdzie staje się do śmieszności łatwą zdobyczą dla każdego nawet patałacha, Vancouver Island, Okanagan oraz mlekiem i miodem płynące kalifornijskie przestrzenie miałyby ciężką z nim przeprawę. Może niemniej ciężką, niż ongiś z autochtonami tych krajów.

— *Well, well* Strzelić — fraszka, ale zanim pan dojdzie do tego strzału, siedemdziesiątym siódmym potem się oblejesz, bo już miałem takie całe miesiące, kiedy bezskutecznie zrywałem nogi i odwrotnie, zależnie od szczęścia... Bywały dni, gdy zaraz po wyjściu z namiotu, lub też w chwilę po opuszczeniu samochodu, tuż przy folwarcznych zabudowaniach, lub przy publicznej, gęsto uczęszczanej drodze, pieski moje brały na nos świeży ślad, aby po krótkim czasie z tryumfem, zachłystując się szczekaniem, obwieścić zwycięstwo. Głosy ich doprowadziły mnie do bijącej się długim ogonem po bokach i łyskającej z pod zmarszczonej górnej wargi kłami, osadzonej na konarze, groźnej na pozór pumy.

Słucham tego i przypominam sobie, jak wytrzeszczałem oczy ze zdziwienia, kiedy jedenaście lat temu, podczas mej wędrówki po Afryce, przypadkowo zetknąłem się w porcie Aleksandryjskim z Ernestem Wache, głównym agentem Karola Hagenbecka w Hamburgu, wracającym z ekspedycji z głębi Sudanu. Podczas jego opowiadań na tematy myśliwskie, zadałem mu stereotypowe pytanie: czy łowienie młodych lwich osesków jest bardzo niebezpieczne? Proszę sobie wyobrazić moją minę, kiedy usłyszałem z ust czerstwego, zasuszonego przez słońce afrykańskie starca, odpowiedź, która dosłownie brzmiała: „*Das dreckigste und das feigste Tier ist der Loewe*". (Najtchórzliwszem i najpodlejszem zwierzęciem jest lew). Miał on podobno wypadki, że lwicę klaskaniem w dłonie odpędzał od małych. Ja przytem nie byłem. *Si non e vero — e ben... „bujano"*. Rzuca to jednak pewien cień na przereklamowaną odwagę i krwiożerczość króla zwierząt, zwłaszcza, że wśród przewożonego na wysmukłym, białym „Peer Gyncie" transportu złowionej młodzieży różnorakich zwierząt, największy odsetek stanowiły lwięta.

Cecil, krzepiony whisky, wyraźnie i przystępnie, wiedząc o tem, że słabo władam jego językiem, ciągnie, opowiadając mi o swoich przeżyciach i przygodach, jakich zaznał, polując od wczesnej młodości na tej wyspie.

— Więc jakto, mister Smith — myśli pan, że nasze polowanie będzie miało powodzenie?



P. Smith z młodemi pumami.

— *Yes, Sir* — jeżeli pan ma dosyć czasu, a płuca i nogi zdzierżą, nietylko myślę, ale jestem przekonany, że bez skóry i czaszki „*mountain lion*" nie wróci pan do Polski. Dyrektorzy z Game Comission niejednego mi już tutaj przysłali. Ale co innego jest, gdy pan taki, mając najwyżej tydzień czasu, wpada, niejednokrotnie dźwigając przed sobą brzuszydło, jak balon, w którem łatwo obydwa nasze plecaki wraz ze śpiworami pomieścić można, a inaczej ma się z panem. *I am sorry, boy!* Coprawda, ciągnie pan jeszcze nosem, jak hipopotam, postępując ze mną, mimo treningu kilkomiesięcznego na szczytach Cariboo, ale widzę, że z górami jesteś obeznany i gdy wpadniesz w trans, wypociwszy z siebie zbyteczny galon wilgoci, napewno uciążliwym towarzyszem nie będziesz. W każdym wypadku dołożę wszelkich starań, aby przełożeni moi i ich gość nie mieli powodu do narzekania.

O, wierzę! Widząc go w terenie, ani przez chwilę nie pomyślałem, że, dźwigając szósty krzyżyk na grzbiecie, nadaje się tylko do zdjęcia miary na trumnę...

Dawno już jesteśmy po posiłku i, obchodząc wierzchołek interesującej nas tego dnia góry, wracamy zboczami do pozostawionego wozu. Nocujemy dziś w małym, ale zato brudnym hoteliku, w schronisku w Forbidden Plateau.

Głębokim śniegiem pokryte szczyty Forbidden w ciągu kilkodniowego naszego pobytu, kiedy to dzień w dzień wyruszaliśmy z brzaskiem, a wracali późnym zmierzchem, nic nam nie dały. Był wprawdzie trzeciego dnia naszej wędrówki fałszywy alarm nerwowca „Morry", który mnie podniecił i naprężył, ale skończyło się na tem, że „czarny", puszczony wraz z „Princem" rzekomym tropem, tak się zapędził, że wszelki słuch o nim zamilkł. Prawdą jest, że Smith od pierwszej chwili dosyć pesymistycznie odniósł się do alarmów kusiciela „Morry", tem niemniej popędziliśmy po oślizgłych zboczach, przedzieraliśmy się przez wilgotny gąszcz splątanych haszczy, uchem chwytając raz po raz odgłosy ujadania, któremi z początku oznajmiały o sobie goniące psy. Głosy te stawały się coraz rzadsze i coraz więcej oddalone, więc późnym wieczorem dnia tego, nie doczekawszy się rozochoconych łowami piesków, wróciliśmy do domu.

Nazajutrz biadający Smith znalazł swoich pupilów, drzemiących z minami baranków, na wełnianej koszuli, którą zostawił poprzedniego dnia przy kłodzie powalonego cedru. Szczególnie niewinny wyraz długiej „buzi" miał „Morry". Zawinął język w trąbkę, przeciągle ziewnął i, łysnąwszy orzechowemi oczyma, powstał na powitanie menera, merdając ogonem, jak gdyby nigdy nic...

Cecil, uradowany rychłem odnalezieniem swoich wychowanków i za mojem wstawiennictwem, udzielił „Morry" amnestji. Polegała ona na tem, że baty, które miał otrzymać jednorazowo, odbierał później ratami...

Dla psów, które codziennie do puszczy były przywożone samochodem, tylko jakiś przedmiot użytku osobistego, pozostawiony w punkcie, skąd ruszyły, mógł je doprowadzić na miejsce spotkania z ich panem. Sposobu tego w takich wypadkach Cecil Cougar Smith chwytał się zawsze z niezawodnym skutkiem. I o ile tylko psy zostawały zdrowe i całe, znajdywał je nieodmiennie w tem miejscu, skąd rozpoczęły gon za zwierzem, czasem nawet po trzydniowej nieobecności.

Psy, dowożone autem do najdalej posuniętych dróżyn górskich, siedząc w zamkniętem pudle wozu, traciły zupełnie orjentację, wskutek czego niepodobieństwem było dla nich trafić do schroniska w Forbidden Plateau, czy też do oddalonego o kilkadziesiąt mil Comox, stałego miejsca ich przebywania. Ale wracając własnemi śladami, mądre te zwierzęta zawsze nieomylnie odnajdywały drogę do miejsca, z którego poszły w miot, a gdzie, jak już powiedziałem, pozostawiał im strzelec jakiś sweter lub koszulę, używaną przez siebie.

Jeżeli uprzednio wspomniałem o cudach zręczności, jakich dokonywały konie „broncho" z gór Cariboo, to równie godne podziwu były wyczyny samochodowe Cecil Cougar Smitha. Bo jeżeli tylko chociaż najmniej dostępna dróżyna prowadziła wgłąb puszczy, a miast mostu nad wąwozem leżały dwa brusy, stanowiło to już dostateczną arterię komunikacyjną, z której Smith nie omieszkał skwapliwie skorzystać. Zatrzymywał się tam, gdzie chłodnica jego automobilu stykała się bezpośrednio z urwiskiem, lub ścianą skalną. I stąd rozpoczynała się już dalsza piesza wędrówka z pełnym rynsztunkiem, umieszczonym w plecakach. Przewidujący i doświadczony Smith o wszystkiem pamiętał i wszystko, każdy najdrobniejszy przedmiot, który może nam być potrzebny w lesie, znajduje się w naszych tobołach.

Jednego wieczora, kiedy zbyt byliśmy oddaleni od naszego wozu, zmęczeni całodzienną wędrówką, rozłożyliśmy się obozem wśród mieszanej, z dużą przewagą cedrów, puszczy. Coprawda noc spędziliśmy mniej wygodnie, niż przy kominku hoteliku w Forbidden, ale dzięki przezorności Smitha, mając suchą bieliznę na zmianę, pożywnie i smacznie przyrządzone sandwicze, nie odczuwaliśmy wielkich braków. Zarówno tę noc, jak i cały szereg następnych w coraz innej okolicy wyspy, spędziliśmy z maksymalną w tych warunkach wygodą.

Vancouver Island, ogrzewana ciepłemi prądami japońskiemi Oceanu Spokojnego, chłodzona mroźnem powietrzem z sąsiednich gór Wybrzeżnych (Cost Mountains) jest na skutek tego narażona na mgły i deszcze, które jesienią, zimą i wczesną wiosną panują tutaj prawie bez przerwy.

Z końcem listopada i w grudniu, w tych miesiącach bowiem przebywałem na tej wyspie, rzadko który dzień jest bezdeszczowy. Wytworzona w ten sposób wilgoć, osiadając wszędzie, czyni nawet z najwspanialszych zakątków tej wyspy, zarosłych bujną roślinnością, miejsca, po których wędrówka jest prawdziwą udręką.

Gdyby nie odpowiednio spreparowane obuwie gumowe, z ostremi kolcami między podeszwą a obcasem, chodzenie po oślizgłych od wiecznie panującej wilgoci pniach wiatrołomów i skalistym gruncie byłoby niepodobieństwem. Błogosławiłem też nieprzemakalne, lekkie spodnie firmy Curris Edinburgh, w które zaopatrzyłem się za poradą Smitha, a które wraz z gumowym, lekkim kaftanem w zupełności chroniły mnie od przemoczenia w zaroślach, jakże różnych od Cariboo. Nie miały sypkiego, suchego śniegu tamtych, a przy najdrobniejszem poruszeniu oblewały nas strumieniami wody. Odzież gumowa, mimo usług, jakie oddawała, miała tę kardynalną wadę, że na skutek gęstości materjału, utrudniała respirację skóry, powodując nadmierne pocenie się.

Zupełnie inny był ten nocleg od nocy, spędzanych w Górach Kaskadowych, czy też Selkirk. Czuło się, że mimo zwałów jodeł i cedrów, próchniejących tu od prawieków, opodal nie rozciągają się bezkresne i niezamieszkałe przestrzenie północnego stałego lądu, gdzie w puszczy tylko płacz i jękliwy skowyt wilczy kujota, lub teskny zew łosia na bukowisku dochodził. Tu wiedziało się, że starczy wyjść na szczyt wierzchołka i, jeżeli tylko wiecznie panująca mgła nie przeszkadza, zobaczy się napewno dalekie, dalekie światło ludzkiej sadyby z Nootki czy z Alberni.

Odnosiło się wrażenie, mimo trudności marszu i zawsze mokrej od potu koszuli, że jest to tylko wekendowa wycieczka, chociaż po powrocie z Forbidden, zapuszczając się wgłąb wyspy, byliśmy niejednokrotnie oddaleni o dwa, trzy dni marszu od najbliższego osiedla. Krwawo czerwona zorza w czasie rzadko pogodnych, bezmglistych dni, kładąc się refleksami świetlnemi, fioletowym zmierzchem przyciemniała błyszczące śniegiem szczyty widniejących zdala nagich, urwistych i poszarpanych erozją gór stałego lądu.

Powietrze w tych okolicach podczas bezmglistej pogody jest do tego stopnia przejrzyste, że widać na odległość mil nieraz, jak dziesiątki górskich potoków suną nakształt srebrzystych wstęg do cieśniny, stwarzając widok, którego malowniczości i krasy nie sposób opisać. Strumienie te, które mają swój początek pod szczytami, błyszcząc w słońcu, giną z oczu u lesistych podnóży, aby później ukazać się w miejscu, gdzie spienioną masą walą się wodospadami z wysokości niejednokrotnie setek stóp, zasilając wody Golf of Georgia, lub Juan de Fuca.

Śnieg na szczytach Forbidden Plateau różni się konsystencją od śnieżnych mas na nieprzebytych przestrzeniach Cariboo. Nie jest ani tak sypki, ani tak ostry. Podmuch wiatru na szczytach Forbidden nigdyby nie stworzył kurzawy. Śnieg tu na wysokościach spoczywa ciężko, nieruchomo, a w południe, ogrzany słońcem, zawsze się łzawi, jakby płacząc nad swoją bezsiłą.

(D. c. n.)

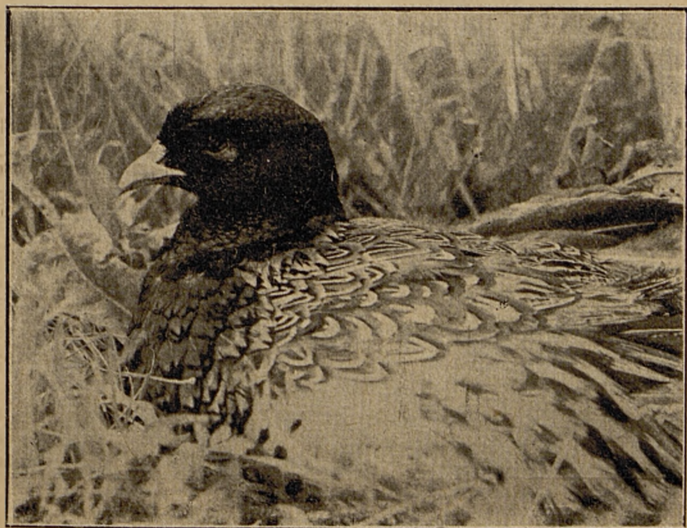
M. G.

RASY BAŻANTA ŁOWNEGO.

Łacińska nazwa bażanta łownego *Phasianus colchicus* wywodzi się od rzeki Phasis (obecnie zwanej Rion) i krainy Colchis, położonej na wschód od Morza Kaspijskiego. Nazwy prawie wszystkich języków nowożytnych są również pochodnemi słowa Phasis. Istotnie ptaki, sprowadzane do Europy od starożytności aż do mniej więcej przed stu laty, pochodziły z okolic, położonych wokoło Morza Kaspijskiego, zwłaszcza z Kaukazu. W ostatnich stu latach zaczęto jednak codo mniej więcej wstecz stu lat, pochodziły z okolic, Azji, przedewszystkiem ze stepów kirgiskich, z Chin i Japonji. W ten sposób pierwotna rasa naszego bażanta łownego—kaukaskiego, zwanego niesłusznie czeskim — zmieszała się z krwią, pochodzącą od innych form geograficznych, zwłaszcza z krwią bażanta obrożnego i mongolskiego. Doszło do tego, że dzisiaj wprost trudno u nas o typowego bażanta kaukaskiego, a mieszanina ras i różnorodność w wyglądzie bażanta łownego jest wprost olbrzymia.

Czemże są bażanty sprowadzone z głębi Azji w stosunku do bażanta kaukaskiego (czeskiego)? Otóż regułą jest, że zwierzę, żyjące na wielkiej przestrzeni, wygląda w każdej krainie inaczej, wytwarzając tak zwane formy geograficzne czyli — mniej ściśle — rasy. Gatunek nie jest jednolity, lecz składa się z szeregu form geograficznych *). Formy bardzo łatwo mieszają się z sobą, a potomstwo ich jest nieograniczenie płodne.

Bażant łowny, żyjący pierwotnie na olbrzymiej przestrzeni, bo prawie w całej Azji, i w terenie poprzecinanym pasmami górskiemi, rzekami i pustyniami, wytworzył mnóstwo form, różniących się między sobą bardzo znacznie upierzeniem, postacią i trybem życia. Według Harterta form tych jest aż 32. Dotychczas sprowadzono do Europy tylko niektóre.



Bażant kaukaski. Nie ma uszu z powodu pierzenia się.
Fot. J. Sokołowski.

Bardzo podobny do bażanta łownego, jest odrębny gatunek — bażant japoński *Phasianus versicolor*. Ze względu na piękną barwę, delikatne kształty i szybki lot sprowadzano go licznie i dzisiaj na zachodzie Europy jest dość rozpowszechniony, gdyż hodowla jego nie jest trudniejsza, niż bażanta łownego. Na podstawie rozpisanej ankiety dochodzę do wniosku, że gatunek ten u nas nie jest jeszcze znany. Bażant *versicolor* różni się od *colchicus* na pierwszy rzut oka tem, że na bokach piersi i na grzbiecie ma piękne, ciemno zielone tarcze (miejsca te u *colchicus* są miedziano bronzowe).



Bażant mongolski. Obecność uszu zdradza przymieszkę krwi.
Fot. J. Sokołowski.

W Polsce wszystko co nazywamy bażantem łownym należy do gatunku *colchicus**). W dalszym opisie będę omawiał zatem tylko formy geograficzne gatunku *Phasianus colchicus*.

Jak już wspomniałem na wstępie, znano w Europie doniedawna tylko formę kaukaską *Phasianus colchicus colchicus*. Ponieważ rozpowszechnił się on szeroko, nazwano go również bażantem zwykłym. Nieuzasadniona jest natomiast tak często używana nazwa: bażant czeski. Czysty bażant kaukaski odznacza się przedewszystkiem zupełnym brakiem białej obroży. Pozatem całe upierzenie jest intensywnie czerwono-bronzowe; na kuprze zielonkawy połysk zaledwie zaznaczony. Poprzeczne ciemne prążki na sterówkach są wąskie i leżą daleko od siebie. Zupełnie czystą formę spotyka się u nas obecnie nader rzadko.

Mniej więcej około r. 1740 sprowadzono z Chin pierwsze bażanty obrożne *Ph. colchicus torquatus* do Anglji. Z biegiem czasu rozpowszechniono je również na kontynencie Europy.

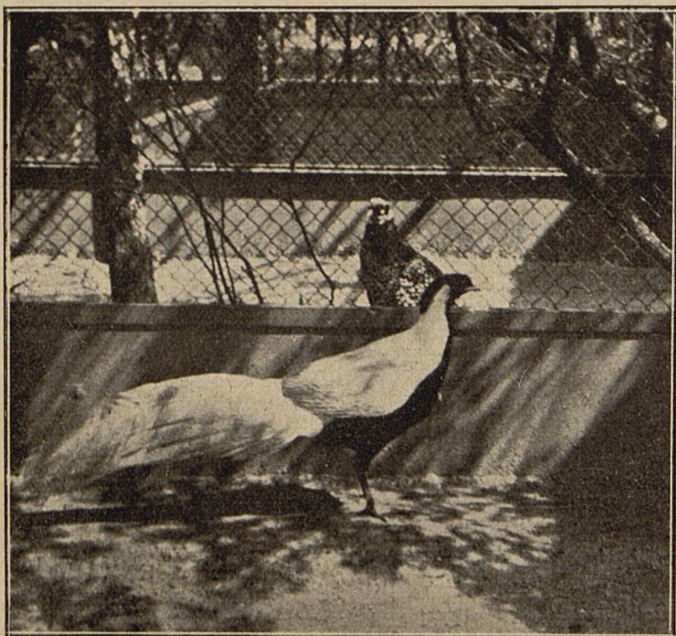
Bażant obrożny odznacza się długą, wysmukłą figurą, jasno złotem opierzeniem i niebieskawo zielonym kuprem. Charakterystyczna biała obroża zmienia się bardzo nietylko w sztucznej hodowli, ale i w ojczyźnie bażanta obrożnego może być u ptaków, pochodzących z jednego gniazda, raz bardzo duża, to znów ledwie zaznaczona.

*) Po łacinie nazywa się pierwszą nazwą rodzaj, drugą — gatunek, trzecią — formę geograficzną. Zatem bażant kaukaski: *Phasianus colchicus colchicus*, bażant mongolski: *Phasianus colchicus mongolicus i t. p.* Ornitologicznie błędnem jest pisanie o bażancie kaukaskim tylko *Phasianus colchicus* o bażancie mongolskim *Phasianus mongolicus*, gdyż możnaby na tej podstawie błędnie sądzić, że bażant kaukaski i mongolski to dwa odrębne gatunki.

*) Oczywiście tak odmienne od bażanta łownego ptaki, jak bażant królewski, bażant srebrzysty, bażant złocisty i t. d. nietylko, że nie należą do gatunku bażanta łownego, lecz są przedstawicielami innych rodzajów. W ich łacińskich nazwach nie spotykamy słowa *Phasianus* lecz *Syrmaticus, Chrysolophus, Gennaeus*.

Bażant królewski i srebrzysty mogą być wprawdzie bażantami „łownemi", gdyż można na nie polować, ale nie należą do gatunku bażanta łownego w znaczeniu systematyki przyrodniczej.

Dopiero w r. 1900 poznano pierwsze mongoły *Phasianus colchicus mongolicus*. Zdobyły one jednak nadzwyczajnie szybko serca myśliwych i dzisiaj są u nas najliczniej hodowaną formą. Istotnie wykazuje mongoł duże zalety, jest silny, odporny i lata doskonale. Jako cechy charakterystyczne, należy wymienić: ciemno-bronzowe upierzenie, jasne krawędzie skrzydeł, białą obrożę i zupełny brak uszu u koguta na wiosnę. O ile „mongoł" ma uszy, jest to najlepszym dowodem, że nie jest czystej krwi, lecz zmieszany albo z colchicus, albo z torquatus.



Bażant srebrzysty. W głębi bażant królewski.
Fot. J. Sokołowski

Biała obroża tak mongoła, jak i bażanta obrożnego, dziedziczy się jako cecha dominująca u potomstwa, pochodzącego z mieszanki z bażantem kaukaskim. Obecność obroży nie jest zatem żadnym dowodem czystości rasy, gdyż może być np. kogut z piękną obrożą, chociaż płynie w nim dziewięć dziesiątych krwi bażanta kaukaskiego, a tylko jedna dziesiąta mongoła lub obrożnego.

Na tem kończy się szereg naturalnych form, spotykanych u nas. Oprócz nich pojawiają się również rasy, powstałe drogą tak zwanej mutacji.

Drogą mutacji powstał bażant ciemno-zielony *Ph. colchicus var. tenebrosus*. Mutacja ta odznacza się silnem wykształceniem barwika niebieskiego, skutkiem czego kogut jest cały granatowy i zielony, a kura jest mniej więcej tak zabarwiona, jak pardwa w lecie. Tego naprawdę pięknego ptaka hoduje się masowo w Anglji i w Niemczech, gdzie zyskuje coraz więcej zwolenników. Ponieważ nadmiar barwika dziedziczy się dominujaco, mutacja ta w niektórych okolicach wypiera podobno bażanta zwykłego. Nie wiem, czy u nas jest już gdziekolwiek, gdyż w ankiecie nie znalazłem o nim wzmianki.

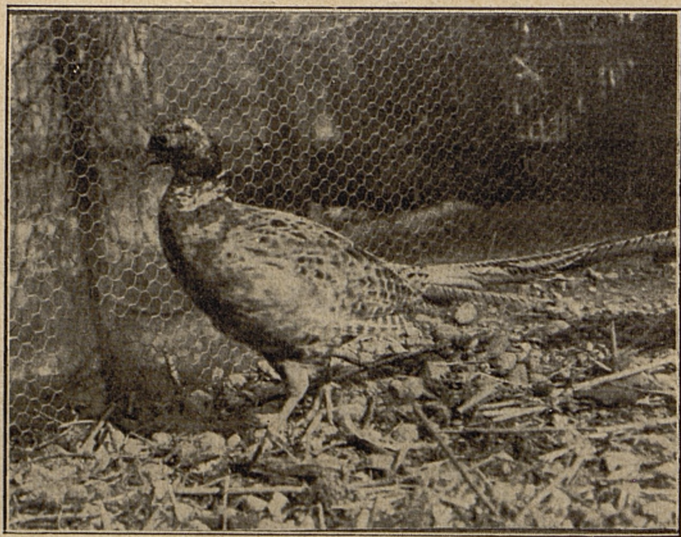
Objawem tak zwanej mutacyjnej *heterochrosis* jest również bażant płowy *Ph. col. var. isabellinus*, zwany również bażantem tureckim. W przeciwieństwie do bażanta ciemno-zielonego powstał on nie wskutek nadmiaru, lecz skutkiem utraty barwika. Kogut ma głowę granatową normalnego bażanta, pozatem jest na całem ciele żółtawo-szary i bardzo jasny w tonie. Prawdopodobnie tworzy się odmiana ta spontanicznie tu i owdzie, ginie jednak z czasem, gdyż przy krzyżowaniu z normalną barwą nie dziedziczy się dominująco, lecz recesywnie, to zn. ustępuje łatwo miejsca innym barwom. U myśliwych i u handlarzy broni spotyka się dość często wypchane okazy bażanta płowego.

Dalszym stopniem utraty barwika jest tak zw. bażant popielaty *Ph. col. var. pallidus*, u którego nawet głowa i kark straciły żywe ubarwienie. Całe ciało ich jest blado szare ze słabo naznaczonem ciemniejszem prążkowaniem. Odmiana ta spotyka się rzadko.

Najczęstszą natomiast odmianą jest *albinizm* czyli bielactwo, polegające na zupełnej utracie barwika, skutkiem czego pióra są białe, a oczy czerwone. *Albinizm* może być częściowy albo zupełny. O ile *albinizm* idzie w parze z widocznemi oznakami słabości ptaka, jest on dowodem degeneracji; o ile ptak jest silny, *albinizm* nic nie szkodzi. Myśliwi, widząc białe plamy w upierzeniu, są często zbyt bojaźliwi i albo starają się odstrzelić wszystkie sztuki albinotyczne*), albo też uważają, że czemprędzej należy odświeżyć krew. Że zmiana barwy może być zupełnie nieszkodliwa, najlepszy dowód, iż cenne rasy ptaków domowych rzadko przypominają ubarwieniem osobniki dzikie, od których pochodzą.

Od *albinizmu* należy odróżnić *leucyzm*. *Leucyzm* występuje u wielu zwierząt, żyjących na północy i odznacza się tem, że całe zwierzę jest białe, a oczy ma czarne, lub w każdym razie nie czerwone. *Leucyzm* nigdy nie jest objawem degeneracji, lecz raczej przystosowaniem do zimnego klimatu. *Leucyzm* pojawia się u bażanta dość rzadko.

Oprócz wymienionych zmian w ubarwieniu, które bez wyjątku dziedziczą się mniej lub więcej, występują również chwilowe zmiany barwika na skutek choroby lub osłabienia. Do tej kategorji należy zaliczyć tak zwane myłkusy. Są to samice, u których jajniki nie działają prawidłowo skutkiem starości, albo też choroby. Stary myłkus staje się z biegiem czasu zupełnie podobny do koguta, a w skrajnych wypadkach nawet tokuje przed kurami.



„Mylkus": stara kura w upierzeniu bardzo podobnem do upierzenia koguta.
Fot. J. Sokołowski

Zmiany w ubarwieniu, ich przyczyny i dziedziczenie są tematem bardzo ciekawym i dotąd mniej zbadanym, niż mogłoby się wydawać. Ze względu na to, że sprawą tą interesuję się specjalnie, byłbym bardzo wdzięczny za przesłanie mi osobników anormalnie ubarwionych, ubitych na polowaniach.

DOC. DR. JAN SOKOŁOWSKI.

*) I słusznie, gdyż bażant musi zachować wygląd dzikiego ptaka, a nie upadabniać się stopniowo do ptactwa domowego. (Przyp. red.).

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 23 LISTOPADA 1936 ROKU.

Przewodniczył P. Wacław Szperling, obecni byli P.P.: Inż. Leopold Skulski, Maurycy Hr. Potocki, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński. Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Kazimierz Kamieński, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Dr. Ignacy Grymiński i Inż. Karol Rotkel; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 10 listopada r. b. przyjęto.

W łączności z protokółem, Wydział Wykonawczy zatwierdził projekt pisma do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w sprawie uzgodnienia z władzami rejestracyjnemi ostatecznej redakcji nowego statutu Związku. Pismo to postanowiono wysłać niezwłocznie.

Wydział Wykonawczy postanowił ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydatury na Delegatów Powiatowych:

w województwie lubelskiem —

Durdełły Zenona, inż. — Garwolin, Miętne — na powiat Garwolin

w województwie warszawskiem —

Martewicza Stanisława — Łowicz, Starostwo
i Stanio Władysława — Łowicz, Gimnazjum — obydwu na powiat Łowicz.

Nadesłane przez Delegata Związku na powiat i miasto Kalisz (Łd) obwieszczenie Starosty Powiatowego w Kaliszu w sprawie stosowania kar za przestępstwa łowieckie — postanowiono zamieścić w „Łowcu Polskim". Jednocześnie uchwalono wyrazić Staroście Powiatowemu w Kaliszu, p. H. Ostaszewskiemu, podziękowanie za tak celowe zarządzenie.

Na wniosek Delegata Związku na powiat Janów (Lb), Inż. Dąbrowskiego, postanowiono wyrazić podziękowanie Komendantowi Powiatowemu policji państwowej w Janowie Lb., Kom. K. Sierakowskiemu, za energiczne i skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich.

Spółka „Chłodnia i składy portowe w Gdyni" oddział w Warszawie — zwróciła się do Związku z prośbą o poparcie wniosku, złożonego Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie możliwości obrotu i handlu zwierzyną, przechowywaną w chłodni, w okresie ochrony. We wniosku tym wymieniona Spółka proponuje, aby zwierzyna, przechowywana w czasie ochronnym, podlegała stemplowaniu kontrolnemu np. przez Związek.

P. Red. Garczyński zaznaczył, że obowiązujące prawo łowieckie przewiduje możliwość handlu bitą zwierzyną, poza okresem polowań jedynie w ciągu 10-ciu dni od rozpoczęcia czasu ochronnego, a więc zrealizowanie tego wniosku jest niemożliwe.

Za poparciem wniosku wypowiedzieli się P. P.: Hr. Potocki i Dyr. Śliwiński, wyrażając przekonanie, że Ministerstwo Rolnictwa znajdzie podstawę do przyjęcia tego wniosku, o ile zagwarantowana będzie należyta kontrola, co w tym wypadku nie nastręcza żadnej trudności.

Zorganizowanie sprzedaży bitej zwierzyny poza okresem dozwolonych polowań wpłynęłoby niewątpliwie na podniesienie cen bitej zwierzyny, które w okresie polowań są ogromnie niskie, a więc zwiększyłoby rentowność łowisk i dochodowość gospodarstwa łowieckiego.

Wniosek „Chłodni" postanowiono poprzeć.

P. Hr. Potocki poruszył sprawę projektowanego przez Conseil International de la Chasse wprowadzenia t. zw. „tryptyków" międzynarodowych na broń myśliwską. Wydział Wykonawczy prosił P. Hr. Potockiego o zreferowanie tej sprawy P. Prezesowi Gen. Sosnkowskiemu. O zbadanie systemu „tryptyków", stosowanego w automobiliźmie, proszono P. Inż. Rotkela.

Rozpatrzenie zgłoszonego przez P. Prof. Gieysztora wniosku o ogłoszenie konkursu wabiarzy — odłożono do następnego posiedzenia.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 30 LISTOPADA 1936 R.

Obecni P. P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Maurycy Hr. Potocki, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Inż. Jan Grabowski, Dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 listopada r. b. przyjęto.

P. Inż. Knothe zakomunikował, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych oczekuje od Związku sprawozdania z podróży delegacji do Brunszwiku oraz projektu w sprawie udziału łowiectwa polskiego w Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie w roku przyszłym.

P. Hr. Potocki, na podstawie rozmów, przeprowadzonych z P. Amb. Lipskim, wyraża przekonanie, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych udzieli Związkowi subsydjum na organizację działu polskiego. Bez tego subsydjum Związek nie może podjąć się tej pracy. W sprawozdaniu z podróży do Brunszwiku i z przebiegu obrad w sprawie Wystawy Międzynarodowej — należy to stanowisko Związku zaznaczyć. Przypuszczalny koszt wyniesie około 50.000 zł. Pracę przygotowawczą rozpocząć należy niezwłocznie. Powołać trzeba specjalną Komisję, która winna opracować kosztorys i szczegółowy plan akcji. Z chwilą przyznania subsydjum koniecznem będzie utworzenie płatnego biura.

P Inż. Knothe zaznaczył, że Międzynarodowy Komitet Organizacyjny w Berlinie domaga się jak najrychlejszego wyznaczenia komisarza rządowego, z którym mógłby się porozumiewać i który byłby odpowiedzialny za korespodencję z Międzynarodowym Komitetem.

W dyskusji zabierali nadto głos P. P. Red. Garczyński, Gędziorowski i Kamieński.

Wydział Wykonawczy powołał specjalną Komisję w składzie P. P.: Hr. Potocki — Przewodniczący oraz Inż. Knothe, Śliwiński, Dylewski, Kamieński i Skrzypek.

Komisji tej powierzono opracowanie sprawozdania z obrad w Brunszwiku dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz przygotowanie kosztorysu udziału Polski w Wystawie Międzynarodowej i planu prac, związanych z organizacją tego udziału.

Rozpatrzenie wniosku P. Prof. Gieysztora o urządzenie konkursu wabiarzy — odłożono do następnego posiedzenia, na które postanowiono zaprosić Karola ks. Radziwiłła.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości sprawozdanie z udziału P. Skrzypka, w imieniu Związku, w zebraniu organizacyjnem Rady Związku Ziem Górskich, i wyraził P. Skrzypkowi podziękowanie.

Postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydaturę Mgr. Stefana Rucińskiego (Biłgoraj) na Delegata Związku w powiecie Biłgoraj województwa lubelskiego.

Na wniosek P. Red. Garczyńskiego, postanowiono zwołać na dzień 2 grudnia r. b. posiedzenie Wydziału Wykonawczego, na którego porządku dziennym zamieszczona będzie wyłącznie sprawa projektu organizacji straży łowieckiej.

LISTA KANDYDATÓW NA DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza następujące kandydatury na Delegatów Powiatowych Związku:

w województwie kieleckiem —
Janiec Ignacy, inż. — Jędrzejów, Nadleśnictwo,
Medoń Władysław, nadl. — Wodzisław,
Różycki Jerzy — Jędrzejów, Opatkowice,
i Wiltowski Stefan — Sędziszów k/ Jędrzejowa, nadleśnictwo Krzelów — wszyscy na powiat Jędrzejów;
Dzianott Zygmunt, dr. — Miechów, Giebułtów
i Kleszczyński Józef, inż. — Proszowice, Jakubowice — obydwaj na powiat Miechów;
Wielopolski hr. Zygmunt — Chroberz — na powiat Pińczów;
Radziwiłł ks. Artur — Rytwiany
i Skotnicki Maksymiljan — Sandomierz, Skotniki — obydwaj na powiat Sandomierz;

w województwie lubelskiem —
Ruciński Stefan, mgr. — Biłgoraj — na powiat Biłgoraj;
Durdełło Zenon, inż. — Garwolin, Miętne — na powiat Garwolin;
Obniski Marjan Hubert, inż. — Izbica n/Wieprzem, Tarnogóra — na powiat Krasnystaw;

w województwie pomorskiem —
Kłoczkowski Henryk, kmdr. ppor. — Gdynia 3, Dowództwo Floty — na powiat Morski;
Kurek Zygmunt, adw. — Kartuzy — na powiat Kartuzy;

w województwie warszawskiem —
Martewicz Stanisław — Łowicz, starostwo
i Stanio Władysław — Łowicz, gimnazjum — obydwaj na powiat Łowicz;
Biernacki Jan — Ostrowy Warszawskie, Imielno — na powiat Kutno;
Płoski Aleksander — Golub, Sokołowo — na powiat Rypin;
Burczak-Abramowicz Seweryn — Szymanów, Skotniki — na powiat Sochaczew;

Kandydatury ogłoszone *po raz trzeci.*

OBCHÓD ŚW. HUBERTA W NIEMCZECH.

Z inicjatywy Wielkiego Łowczego Rzeszy, ministra Göringa, co roku w dn. 2 listopada niemieckie zrzeszone łowiectwo obchodzi uroczyście święto Huberta na Hainbergu w Brunszwiku.

W r. b. uroczystość rozpoczęto od misterjum, odegranego na otwartem powietrzu, na tle wiekowego lasu bukowego. W czterech obrazach odtworzono historję łowiectwa niemieckiego od czasów zamierzchłych do chwili obecnej. Po przedstawieniu W. Łowczy, p. Göring, wygłosił dłuższe przemówienie, które tu, z uwagi na wagę podniesionych momentów, w streszczeniu podajemy.

Nawiązując do zakończonego przed chwilą misterjum, p. Göring podkreślił wagę zobrazowanej w niem ciągłości tradycji łowieckiej w Niemczech. Przez cały ten wielowiekowy okres duchem, ożywiającym łowiectwo niemieckie, była świadomość, iż myśliwi są nie posiadaczami, a jedynie powierniczymi użytkownikami dobra łowieckiego. Las bowiem, wraz ze wszystkiem, co w nim żyje, należy do Boga. Bóg go powierzył narodowi, a myśliwi, jako wykonawcy woli narodu, obowiązani są chronić to dobro, które mu przekazane zostało. Dlatego też w misterjum ciągle powtarza się wezwanie: chrońcie zwierzynę, oszczędzajcie ją, hodujcie i opiekujcie się nią w chwilach ciężkich. Znając myśliwych niemieckich, mówca ma pewność, iż i w roku bieżącym, gdyby się on okazał surowym dla zwierzyny, nie pozostanie ona bez troskliwej opieki zrzeszonego łowiectwa niemieckiego. Podobnie jak w szeregach żołnierskich przyzwyczailiśmy się o sobie myśleć na ostatku, tak i w spełnianiu obowiązku myśliwego, musimy przedtem myśleć o powierzonej nam zwierzynie, a potem dopiero o naszej własnej przyjemności.

W pracy tej myśliwemu musi dotrzymać kroku leśnik. Leśnictwo nie da się oddzielić od łowiectwa. Las jest siedzibą zwierzyny, a jedno i drugie jest dobrem, przekazanem ludziom przez Boga. Przebywanie w lesie napawa człowieka wdzięcznością dla Stwórcy, wzmacnia go duchowo i odmładza fizycznie. Nie odczuwać jego dobroczynnego wpływu może tylko osobnik, który las traktuje jedynie ze stanowiska ilości metrów sześciennych drewna. Toteż las powinien trwać wiecznie, jak wiecznym jest naród, z dobrodziejstwa jego korzystający.

Z Hainbergu uczestnicy uroczystości Hubertowskich udali się do wsi Kissenbrück, aby wziąć udział w doskonale zorganizowanym popisie polowania z sokołami, wznowionego od kilku lat w Niemczech. Obok sokołów korzystano również z jastrzębi, głównie gołębiarzy. W wyniku polowania wzięto kilkanaście bażantów, kuropatw, królików i wron.

Wieczorem tegoż dnia odbyło się uroczyste przekazanie władzom m. Brunszwiku ofiary łowieckiej na rzecz pomocy zimowej dla najuboższych. Na zielonym kobiercu trawnika ułożono w świetle pochodni olbrzymi rozkład najrozmaitszej zwierzyny, a straż leśna odegrała na trąbkach sygnały i fanfary łowieckie.

Resztę wieczoru poświęcono omówieniu wespół z gośćmi zagranicznymi programu przyszłorocznej międzynarodowej wystawy łowieckiej w Berlinie. J. G.

MOŻLIWOŚCI POLOWANIA W KARPATACH.

W ubiegłym sezonie myśliwskim Lwowska Dyrekcja Lasów Państwowych umożliwiła urządzanie polowań luźnym grupom myśliwych w swych rozległych rewirach karpackich, na dziki i lisy. Można się tam spotkać i z wilkiem; niektóre nadleśnictwa są zaopatrzone we fladry. Niestety, niedźwiedź i ryś, które trafem ale przecież też podczas obławy, spotkać można, są wyłączone z możliwości strzału i tylko ukłonić się im można.

Brak śniegu przez całą prawie ubiegłą zimę uniemożliwił wykorzystanie możliwości polowań w rewirach Lw. Dyrekcji L. P. Kilkanaście dni w lutym, pełne zadymek i zamieci, a wreszcie pełno przeróżnych terminów polowań, gdyż wszyscy na śnieg czekali, nie pozwoliło na projekty na dłuższą metę.

Obecnie Dyrekcja L. P. we Lwowie znów otwiera swe knieje dla chętnych. Dostępne warunki stawiane przez Dyrekcję L. P. oraz wysiłki nadleśnictw, aby polowania udały się jak najlepiej, zachęcają tych, którzy chcieliby w karpackiej puszczy spotkać się z czarnym zwierzem, a przy sposobności strzelić chytrego mykitę.

Tegoroczna zima wciąż jest zapowiadana, jako mroźna i śnieżna. Zatem myśliwi mają 2 pełne miesiące do dyspozycji.

Przy sposobności podaję do wiadomości, że najlepiej łączyć się w grupy 6—8 osób, aby polować w swojem gronie. Koszt polowania, poza opłatami za prawo polowania (od osoby i za dzień), oraz za ubitą zwierzynę, wynosi przeciętnie dziennie od 30,— do 35,— zł, licząc udział 20 naganiaczy, 2—3 gajowych, oraz, jeżeli warunki terenowe pozwalają, jednej furki pod rzeczy, żywność i t. p.

Dyrekcja L. P. daje do dyspozycji myśliwych pokoje t. zw. komisyjne, w których za nocleg liczy minimalne opłaty, oraz drezyny motorowe, za użycie których liczy koszty własne, co również nie stanowi wielkiej pozycji.

Najdotkliwszym jest koszt biletu kolejowego. Niestety, władze kolejowe odpowiedziały odmownie na starania Dyrekcji L. P. o przyznaniu zniżek dla myśliwych, udających się na polowania do karpackich rewirów.

Aby koszty przejazdu wykorzystać praktycznie, trzeba polować 2—4 dni, co przy rozległych terenach, połączeniach telefonicznych z sąsiedniemi nadleśnictwami, jest zupełnie możliwe.

Dr. J. B.

JUBILEUSZOWY NUMER WILEŃSKICH „TRĄBEK".

Ósmego listopada ukazał się w tym roku Nr. 5 (77) bezpłatnego dodatku do „Słowa", p. t. „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie?..." Jak wiadomo, „Trąbki" stanowią oficjalny organ Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, a mniej więcej w chwili ukazania się powyższego numeru obchodziły dziesięciolecie swego istnienia.

Warto tu podkreślić, że „Trąbki", powstałe w październiku 1926 r. z inicjatywy p. Michała Obiezierskiego, która została natychmiast podchwycona przez takich działaczy łowieckich, jak pp. Bolesław Świętorzecki, dr. Czesław Koneczny, Konrad Landsberg i Michał K. Pawlikowski, stanęły do pracy budzenia ducha łowieckiego i jego w czas wojenny i bezpośredni po nim kilkoletni okres zadrzemałego sumienia; do zwalczania apatji wschodnio-kresowych hodowców i łowców, których tradycje stały zawsze przedtem w najwyższej klasie bractwa Hubertowego; do walki z niezwykle w tym czasie rozpanoszonem kłusownictwem i do obrony zdziesiątkowanego wszędy zwierza.

I uczyniły to wtedy jeszcze, gdy obowiązujące dziś prawo łowieckie, wydane w przeszło rok później, dopiero kształtowało się na ministerjalnych konferencjach.

Jak ciężką walkę i pracę podjęły, mówi o tem nietylko długoletnie borykanie się w dążeniu do jak najszerszego przeprowadzania idei, którym hołdują, co zapisała skrzętnie w szczegółach historja rozwoju polskiego łowiectwa powojennego, lecz także i to, że, jak wskazuje kolejny numer, zaledwie wyrażający się liczbą 77 (za 10 lat!), brak im było zawsze najpotrzebniejszego środka propagandowego — finansów.

Ale wiemy, że rąk nie opuszczano i trudnościom przeciwstawiano siłę ducha i energję czynu, wytrwałość planów i zamierzeń. Wszyscy też znamy rezultaty tej piśmienniczej akcji wschodnio-kresowego rejonu zarówno na terenie łowisk, jak i w żywem słowie na łamach „Trąbek".

Numer jubileuszowy przynosi pięć większych artykułów, wyszłych z pod piór znanych bojowników o lepszą przyszłość polskiego łowiectwa. Są to: „W dziesiątą rocznicę" M. K. P. (Redaktora Pawlikowskiego — krótka historja „Trąbek"), „Z polowań na Kresach Wschodnich" Bolesława Świętorzeckiego, „Kilka słów o naszym rysiu" Jana Borowskiego, „Pani poluje" Mieczysława Mniszek-Tchorznickiego, wreszcie feljeton „Poranek w puszczy" Leopolda Pac-Pomarnackiego.

Z braku miejsca ani streszczać, ani wskazywać wartości fachowej i literackiej tych prac nie mogę — wystarczy jednak, że wymieniłem nazwiska autorów, żeby czytającego te słowa zaciekawił numer jubileuszowy „Trąbek" wileńskich.

Natomiast muszę dłużej zatrzymać się na tej okoliczności, że powyższe artykuły zapełniły zaledwie połowę numeru jubileuszowego, gdy druga połowa została poświęcona Młodemu Łowiectwu. Pod tym tytułem wydrukowano łącznie z „Trąbkami" Nr. 1 nowego dodatku, stanowiącego organ Akademickiego Związku Łowieckiego U. S. B. w Wilnie.

Na dodatek ten składają się: „Młodzież a łowiectwo" Andrzeja Dobrskiego, łowczego A. Z. Ł. na USB w Wilnie, „Z przeszłości w przyszłość" Tytusa K. Karpowicza, „Gdy się świat zostawi za sobą" Jerzego Oświecimskiego i szereg drobiazgów z odezwą Akad. Związku Łow. na czele.

Z odezwy tej, podpisanej przez Zarząd, dowiadujemy się, że A. Z. Ł. powstał w połowie roku akademickiego 1935/36 i liczy obecnie 20 członków; że celem Związku jest praca na polu ideowo-łowieckiem, jak również danie możności członkom polowania. Dalej że Związek był zmuszony borykać się od samego powstania z licznemi trudnościami, a nawet z nieprzychylnością (!) władz uniwersyteckich; że natomiast doznał wydatnego poparcia moralnego od czołowych myśliwych Wileńszczyzny, a pomoc finansową uzyskał od Zarządu Klubu Myśliwskiego w Wilnie.

Artykuł p. A. Dobrskiego można z całym spokojem nazwać artykułem programowym, który jednocześnie skrupulatnie i szczegółowo rozważa wszelkie „za" i „przeciw" kwestji możliwości organizowania się młodzieży akademickiej w związkach łowieckich.

Artykuł ten zawiera skonkretyzowanie punktów, w zakresie których należy jak najśpieszniej wypełniać luki, a z tą koniecznością autor zwraca się do starszego pokolenia myśliwych, stowarzyszonych i rozporządzających pewną siłą organizacyjną i wpływami, o pomoc, bez której praca młodych na polu ideowo-łowieckiem nie może postąpić naprzód.

Wyliczmy te postulaty:

1) wpłynięcia: by w szkołach uczono przyrody żywej, z uwzględnieniem łowiectwa. Jest to kwestja bodaj zasadnicza i nietylko dla łowiectwa, ale i dla całego kierunku zainteresowań związanych z przyrodą, jak botanika, zoologja, rolnictwo, leśnictwo, rybołóstwo, a przedewszystkiem ochrona zabytków przyrody i jej piękna — nie wyłączając parków miejskich;

2) niezamykania się w ścisłych ramach towarzystw lub związków, a szerzenia jak słowem tak drukiem celów i wartości, jakie z łowiectwa płyną... Nieograniczania się do pism fachowych, nienarzekania w nich na prasę codzienną, lecz przeciwnie, zasilania jej prawdziwie wartościowemi łowieckiemi artykułami. Obniżenia prenumeraty pism fachowych, by były one dostępne dla mniej zamożnych. Przeznaczenia pewnej ilości nakładu na celem propagandowe, a mianowicie na sporadyczne rozsyłanie gratis po szkołach, uniwersytetach, czytelniach lub bibljotekach. Podniesienie w tych pismach strony fachowo - łowieckiej, gdyż tylko wówczas spełnią one swe zadania, a przy obniżeniu cen prenumeraty zwerbują sobie nowych, stałych czytelników;

3) wydania i rozpowszechnienia książki, któraby zawierała najważniejsze postulaty z łowiectwa, hodowli zwierzyny oraz obchodzenia się z bronią na polowaniu. Na podstawie tego, że tak powiem „vade mecum myśliwego", powinien być przeprowadzany egzamin dla wszystkich, którzy się starają o wykupienie karty łowieckiej, względnie jej prolongatę, a przedewszystkiem dla nas młodych;

4) poparcia naszych dążeń, by powstające, względnie już zatwierdzone organizacje łowieckie młodzieży, były traktowane narówni z innemi, a nie jak to ma miejsce obecnie;

5) postarania się, by tenuta dzierżawna terenów w lasach państwowych była zredukowana do minimum dla związków i towarzystw łowieckich młodzieży, a nawet, by w pierwszym roku istnienia organizacji mogła być wogóle zniesiona. Wówczas nawet przy pewnych niepowodzeniach materialnych będziemy mogli ją uiszczać, a składki z roku pierwszego byłyby funduszem żelaznym, pozostawionym na wszelki wypadek;

6) z chwilą zaś, gdy powstaną związki i towarzystwa łowieckie młodzieży, należałoby wydawanie karty łowieckiej po odbytym egzaminie uwzględnić tylko tym, którzy się wykażą, że są ich członkami.

Zaiste postulaty te sformułowane są w pełnem przeświadczeniu wagi i wartości łowiectwa i środków organizacyjnych, prowadzących do uzyskania jego świetności w Polsce, przez odpowiednie wychowanie nowych pokoleń myśliwych, a także poruszają trafnie dobrane szczegóły tego ogromu pracy, jaki leży przed starem pokoleniem, by idee własne móc niezachwianie i głęboko wszczepić w młodzież, rozwijającą się pod innem tchnieniem, nieraz błędnie nastrojonej współczesności.

Może ten głos młodzieży łowieckiej zachęci nas do pracy twórczej, bardziej skonsolidowanej i — da Bóg — owocniejszej.

A życzenie to jest tembardziej na czasie, że obecnie sami wchodzimy w okres uświadomionej potrzeby reorganizacji istniejącego związku myśliwych polskich.

W każdym razie ci wszyscy, którzy stoją obecnie u steru polskiego łowiectwa i jego idei, którzy stają obecnie do pracy reorganizacyjnej i organizacyjnej, nie powinni poprzestać na odczytaniu tych kilku moich uwag, lecz zainteresować się bliżej głosem młodzieży łowieckiej z nowego czasopisma „Młode Łowiectwo", gdzie p. Dobrski i p. Karpowicz są przedstawicielami głosu nietylko zdrowej idei ruchu łowieckiego wśród młodzieży, lecz także — niewątpliwie — głosem naszego sumienia łowieckiego.

WŁ. Z.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Ostatnio na rynku księgarskim ukazała się książka, która musi zainteresować myśliwych, chociaż właściwie myśliwską nie jest. Jest to wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. Autorem jej jest p. Stefan Tołpa; tytuł „Śladami łosia". Stron 184 z licznemi fotografjami oraz trzema mapkami.

Jest to sprawozdanie z wycieczki, odbytej przez autora na Polesie. Wprawdzie autor jest więcej botanikiem, niż myśliwym, niemniej praca jego jest pisana tym językiem, który zawsze się słyszy, gdy mowa o Polesiu, krainie dziwnie pięknej i przyciągającej. Wspaniała przyroda, nietknięta w wielu miejscach ręką ludzką, stanowi zawsze ciekawy temat w tego rodzaju publikacjach, toteż książkę p. Tołpy czyta się z prawdziwem zainteresowaniem.

Jest to książka, która musi nas myśliwych zaciekawić, Ale nie szukajmy w niej emocji myśliwskich, szukać i dopatrzeć się w niej musimy czaru Polesia. Autor, choć nieraz ciężko pracował w Biurze Meljoracyjnem w Brześciu n/Bugiem, miał zawsze czas i oczy otwarte, by to piękno widzieć. I dostrzegł je, zachwycił się niem i prostem, szczerem słowem daje wyraz swoim wrażeniom w tej pracy.

Książkę tę musimy kupić do naszych bibljotek myśliwskich, gdyż czar pierwotnej przyrody bije z każdej stronicy, a urok Polesia wsącza się w duszę czytelnika, szukającego piękna w naturze.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

NA POMOC ZIMOWĄ DLA BEZROBOTNYCH.

Dotychczas zostały przekazane przez myśliwych i hodowców Komitetom Pomocy Zimowej dla Bezrobotnych następujące ofiary w postaci zwierzyny bitej:

1. Maurycy hr. Potocki z Jabłonny na ręce Starosty pow. warszawskiego — 100 bażantów i 30 zajęcy.
2. Dyr. Jerzy Fürstenberg z Będzina na ręce Prezydenta Łydorczyka w Będzinie — 40 zajęcy.
3. August Łempicki z Gierczyc, pow. opatowskiego dla bezrobotnych m. Ostrowia — 100 królików.
4. Zarząd Towarzystwa Racjonalnego Myślistwa w Łodzi — do dyspozycji woj. Kom. P. Z. B. w Łodzi — zł. 50.—.
5. Wojskowe Towarzystwo Łowieckie w Warszawie nadesłało do redakcji zapowiedź wpłat w gotówce z opodatkowania każdej ubitej sztuki w zimowym sezonie myśliwskim na rzecz bezrobotnych.
6. Członkowie Koła Miłośników Łowiectwa na polowaniu odbytem w dn. 29 listopada r. b. w lasach dóbr Zegrzyńskich z ubitej zwierzyny w ilości 93 zajęcy, 7 bażantów i 6 kuropatw ofiarowali na rzecz kuchni dla inteligencji bezrobotnej Stołecznego Komitetu Pomocy Zimowej 1/3 rozkładu zajęczego, a więc 31 sztuk, z czego 15 sztuk w naturze, a za 16 pozostałych uiścili równoważnik pieniężny w kwocie 25 zł.

Do wiadomości myśliwych m. st. Warszawy podajemy, iż ofiary na rzecz „Pomocy zimowej dla bezrobotnych" w zwierzynie lub w gotówce składać należy w Stołecznym Komitecie Obywatelskim Pomocy Zimowej, ul. Czackiego 12 m. 3.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W ubiegłym miesiącu urządził Klub Myśliwych w Jutrosinie, woj. poznańskie, polowanie z naganką na terenie spółki łowieckiej w Szkaradowie, na którym ubito 157 sztuk zajęcy i 12 kuropatw. Drugie polowanie urządził Klub na terenie spółki łowieckiej w Czeluścinie z następującym wynikiem: 253 zające, 90 bażantów - kogutów, 49 królików oraz 20 kuropatw.

— Dn. 9. XII. 36 r. odbyło się polowanie u p. Konstantego Murzynowskiego w maj. Kalinowa, pow. kaliski, w 10 strzelb. Udział wzięli pp.: Pułascy sen. i jun., Mieczysław Jałowiecki, Józef Radoński, Ludwik Nieniewski, Kazimierz Walewski, Józef i Henryk Krzyżanowscy, Antoni Karczewski, Maciej Chełkowski. Ubito 947 sztuk, w tem 438 zajęcy i 509 bażantów.

— W dniu. 5. XII. 1936 odbyło się polowanie w maj. Gorzewo, wł. p. U. Uhle. Opolowano około 1000 ha pola w 7-miu kotłach w 9 strzelb i ubito 24 bażanty - koguty i 187 zajęcy.

— W dniu 7. XII. 1936 odbyło się polowanie w maj. Lulin, wł. pp. Morawskich. Opolowano około 850 ha pola w dwóch ławach i około 1000 ha lasu w 12-tu pędzeniach przy współudziale 8 strzelb i ubito: 80 bażantów - kogutów, 19 królików i 428 zajęcy.

Ten piękny rozkład, lepszy od zeszłorocznego o 50 sztuk, jest niewątpliwą zasługą p. Jana Morawskiego z Lulina, który, nie szczędząc kosztów i trudów, doprowadził zwierzostan do kwitnącego stanu.

— Dnia 15 listopada odbyło się na terenie dyr. Fürstenberga w Siewierzu polowanie. W 10 strzelb ubito 80 zajęcy i 33 kuropatwy.

— Dnia 6, 7 i 8 grudnia b. r. w Nadniemeńskiem Kółku Łowieckiem polowano w 20 strzelb na terenach siemiatyckich z następującym rezultatem.

Ubito: 9 dzików, 5 lisów, 1 sarnę (odstrzałową), 70 zajęcy, orła przedniego, gołębiarza i jarząbka.

— Dnia 7 grudnia b. r. odbyło się w maj. Dobrzyniec, pow. mińsko-mazowieckiego, własność pp. Antoniostwa Rychłowskich, polowanie w 18 strzelb.

Przy niesprzyjającej pogodzie opolowano ponad 2000 morgów terenów folwarcznych i dzierżawionych włościańskich. Ubito razem 173 zające i 11 kuropatw, na odstrzał których właściciele otrzymali zezwolenie województwa.

— W dniu 24.X. odbyło się u p. Stanisława Wyganowskiego polowanie w zagajnikach w Skarszewie przy udziale 10 strzelb. Zabito: bażantów 308, kuropatw 15, zajęcy 96, królików 672 — ogółem sztuk 1091.

W dniu 28.XI. opolowano park w Warszówce, oraz remizę i poplony w Skarszewie przy udziale 9 strzelb. W 6 pędzeniach zabito bażantów 1278, królików 22, razem sztuk 1300. Do zajęcy nie strzelano.

— W Taczanowie u Ordynata Jana Taczanowskiego (woj. pomorskie) odbyły się w ostatnim sezonie następujące polowania:

W dniu 5.9. br. polowano na pędzone kuropatwy pół dnia przy deszczu w 5 strzelb i ubito 239 kuropatw;

w dniu 20.10. br. polowano w bażantarni i remizach w 7 strzelb i ubito: 555 bażantów, 453 króliki, 20 kuropatw, 55 zajęcy, 12 kaczek i 7 różnych. Razem 1.102 sztuki;

w dniu 4.12. b. r. polowano w lesie w 7 strzelb i ubito 212 bażantów, 270 zajęcy, 286 królików, 1 słonkę i 1 różne. Razem 770 sztuk;

w dniu 5.12. br. polowano w polu na obszarze ca 1300 ha. w 9 strzelb i ubito 596 zajęcy, 299 bażantów, 33 króliki, 5 lisów, 2 różne. Razem 935 sztuk.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażanty, dzikie **króliki,** oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca **Zarząd Lasów XX Czartoryskich w Babkach** poczta **Krzesiny,** Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

Dwóch energicznych gajowych przyjmę natychmiast. Wymagana bezwzględna uczciwość i znajomość upraw i manipulacji drzewnej. Wnioski z odpisami świadectw i podania warunków kierować do Leśnictwa Strzyłki, powiat Turka, woj. Lwowskie.

Fretki do tępienia królików sprzedam po 10 złotych. Franciszek Gębicki, Zawiercie, maj. Rudniki.

Koguty czystej krwi Mongoły, Tenebrosusy, po importach węgierskich, sprzedaje bażantarnia Borowie. Warszawa. Żórawia 28-6.

Leśniczy, poznańczyk, lat 32, silny, zdrów, doświadczony fachowiec, z 13-letnią praktyką, uczciwy, obowiązkowy i energiczny, wiadomości wszechstronne z gospodarki leśnej, książkowości i kasowej, oraz sztucznego wychowu bażantów. Świadectwa i polecenia bardzo dobre. Wymagań skromnych. Miejscowość obojętna. Podać warunki. Poszukuję posady leśniczego-kontrolera, ewentualnie borowego-strzelca i t. p. J. Sokowicz, Kaczanowo 55, poczta Września, (Poznańskie).

Podleśniczy młody, energiczny, z kilkoletnią wszechstronną praktyką leśno-łowiecką, w tem 2 lata w lasach Krośniewickich, egzaminowany. Znajomość języka polskiego i niemieckiego, poszukuje posady od 1 kwietnia 1937 r., obecnie na posadzie. Zgłoszenia upraszam do redakcji Łowca Polskiego pod 2162.

Rogi jelenie ładne z czaszkami, sprzedam. Ceglana 17-2 tel. 299-15.

Sztucer podwójny, 11 mm. kurk., Sauer Suhl zamienię na dubeltówkę bezkurkową kal. 12 lub 16. W. Litwiński — Brzezinka, pow. Katowice